

Cenckiewicz / Chmielecki

PREZYDENT

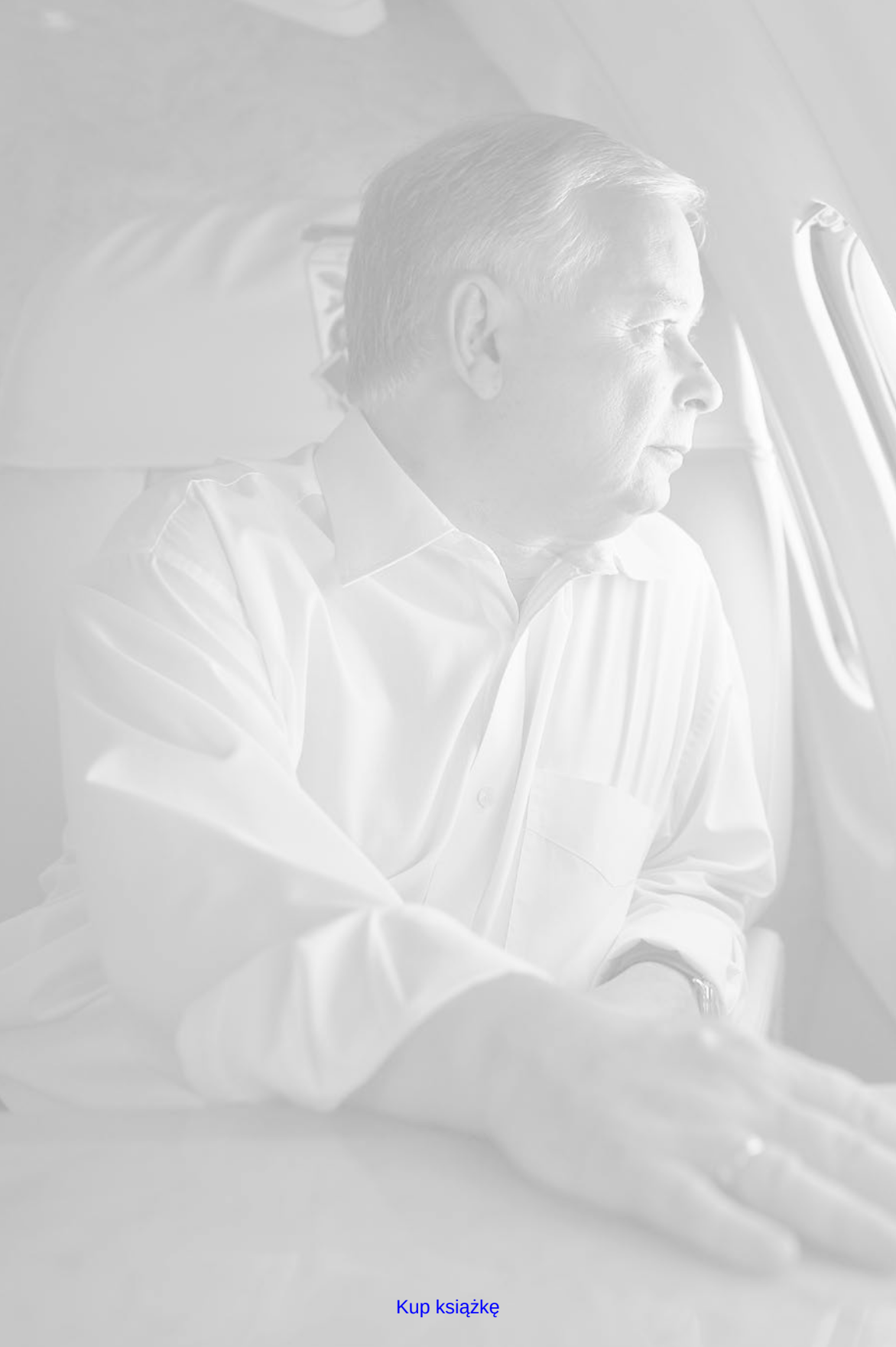
LECH KACZYŃSKI 2005 - 2010



FRONDA

PREZYDENT

[Kup książkę](#)



[Kup książkę](#)



Sławomir Cenckiewicz
Adam Chmielecki

PREZYDENT

LECH KACZYŃSKI 2005 - 2010

FRONDA

[Kup książkę](#)

*Prezydent.
Lech Kaczyński 2005–2010*

Projekt okładki:
Fahrenheit 451

Zdjęcie na okładce frontowej:
Filip Ćwik/Napo Images/FORUM

Zdjęcia w książce:
Zasoby Kancelarii Prezydenta RP, dzięki uprzejmości Macieja Chojnowskiego

Dyrektor projektów wydawniczych:
Maciej Marchewicz

Korekta i redakcja:
Hanna Śmierzyńska
Barbara Manińska

Indeks:
Weronika Sygowska-Pietrzyk/Wydawnictwo Naukowe Sub Lupa

Skład i łamanie:
TEKST Projekt, Łódź

ISBN 978-83-8079-049-0

© Copyright by Sławomir Cenckiewicz 2016
© Copyright by Adam Chmielecki 2016
© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_Frona

Wyłączny
Mecenas Wydania



[Kup książkę](#)

Ofiarom katastrofy smoleńskiej
10 kwietnia 2010 r.

[Kup książkę](#)

*Bohaterstwem narodu jest poświęcenie
teraźniejszości dla przyszłości. Zdradą w narodzie
jest poświęcenie przyszłości dla teraźniejszości*

płk Ignacy Matuszewski

Spis treści

Od Autorów	7
Rozdział 1. Kampania wyborcza 2005 r.	13
Podwójne wybory	15
Wiosna Polaków	20
Sprawa Anny Jaruckiej	25
Polska solidarna	30
Parlamentarny prolog	39
Pierwsza tura	43
Dziadek z Wehrmachtu	46
Dogrywka	52
Rozdział 2. Start	83
Prezydent elekt	83
Kancelaria Prezydenta RP	86
Życie w Pałacu	116
Pierwsza Dama, czyli „perła w koronie”	121

Rozdział 3. Prezydent IV Rzeczypospolitej	139
Rząd Kazimierza Marcinkiewicza	140
Współpraca z rządem Jarosława Kaczyńskiego	155
Kohabitacja z rządem Donalda Tuska	172
Rozdział 4. Fundamenty	207
Polityka zagraniczna	207
Polityka bezpieczeństwa	245
Polityka historyczna	312
Polityka społeczna	353
Rozdział 5. Ostatni lot	411
Gra Władimira Putina i Donalda Tuska	412
10 kwietnia 2010 r.	426
Ułomne śledztwo	440
Drugi Katyń	458
Pamięć	463
Zakończenie	481
Wykaz ważniejszych skrótów	489
Bibliografia selektywna	491
Indeks osób	499

Od Autorów

Analizując szeroko pojęte życie publiczne w Stanach Zjednoczonych Paul Ekman w swoim psychologicznym dziele *Kłamstwo i jego wykrywanie w biznesie, polityce i małżeństwie* napisał, że „Ameryka stała się krajem kłamstw”¹. Z czasem profesor Ekman zauważył, że nie tylko Amerykę trawi wirus kłamstwa i że niemal całe światowe życie zbiorowe oparte jest na fundamencie kłamstwa. Amerykański uczony nie badał jednak poziomu społecznego zakłamania w Polsce, choć nadmienił, że kłamstwo w komunizmie „stało się normą”, więc i konsekwencje owej „normy” muszą odcisnąć swoje piętno na społeczeństwach krajów postkomunistycznych².

W tym sensie próby porównywania, czy wręcz zrównywania sytuacji w zachodnich demokracjach z normą obowiązującą w krajach postkomunistycznych mimo wszystko wciąż wydają się przesadzone. Specyficzną otoczką kłamstwa publicznego w postkomunizmie jest bowiem klientelizm, bo – jak słusznie zauważył kiedyś Wojciech Chudy – „możliwość kłamstwa zwiększa się, gdy brakuje ludzi, którym można wierzyć bezwzględnie, dominuje zaś w społeczeństwie atmosfera zależności i wzajemnych interesów. Prawdzie wtedy brak oparcia w ludziach”³.

Ofiarą takiej właśnie sytuacji był Lech Kaczyński, którego prezydentura przypadła na czas przełomu charakteryzującego się

upadkiem obyczajów obowiązujących w życiu publicznym i wulgaryzacją języka. Trafnie pisał o tym Ryszard Legutko, twierdząc:

„W roku 2005 doszło do niebywałego schamienia sfery publicznej i stan ten utrzymuje się do dziś. Oczywiście demokracja sama z siebie, a także w połączeniu ze zdemokratyzowanym liberalizmem, sprzyja wulgarności. Wulgaryzację języka i wyobrażeń obserwujemy więc od długiego czasu w całym świecie liberalno-demokratycznym, a w Polsce niekomunistycznej ujawniła się ona od samego początku z siłą, która wielu przykro zaskoczyła.

Rok 2005 dokonał zmiany jakościowej. Jeśli istniały wówczas jeszcze tamy, to zostały szybko zburzone. Nagle okazało się, że wszystko już wolno powiedzieć, a co ważniejsze, im powie się ordynarniej i obraźliwiej, tym większe zyskuje się uznanie. Skoro Prawo i Sprawiedliwość stało się wrogiem, nie przeciwnikiem, nie nielubianą partią, lecz wrogiem systemu – największym, jakiego wydała III RP, niemal śmiertelnym – to przecież nie ma broni retorycznej, która byłaby niedopuszczalna. Polemika straciła sens, bo nie chodziło o polemizowanie, lecz o spowodowanie, by Polacy patrzyli na tę partię i jej członków z odrazą.

Naigrawano się więc z przypadłości fizycznych i kalectwa (jak w wypadku śp. Przemysława Gosiewskiego), drwiono z żałoby i śmierci (po katastrofie smoleńskiej), naśmiewano się z zagrożenia życia (niebywała wypowiedź Bronisława Komorowskiego o ślepym snajperze strzelającym do prezydenta Kaczyńskiego). Chamstwo więc nie tylko było tolerowane, lecz stało się podziwianym orężem, dzięki skutecznemu władaniu nim można było zdobyć sławę polityczną, a także zyskać medialną popularność i społeczne poważanie, o czym świadczyły kariery Palikota, Kutza, Niesiołowskiego, Komorowskiego czy triumfalny powrót Wałęsy z niechlubnego niebytu”⁴.

Nasza książka, chociaż jest przede wszystkim poświęcona dokonaniom Lecha Kaczyńskiego z lat 2005–2010, jest również próbą rekonstrukcji chorób, jakie trawiły i trawią polskie życie publiczne.

Uważamy bowiem, że opór środowisk liberalnych i lewicowych wobec prezydentury Kaczyńskiego oraz zastosowane wówczas metody ciągłej i konsekwentnej delegitymizacji głowy państwa nie miały precedensu nie tylko w dziejach Polski, ale i innych krajów demokratycznych.

* * *

Po trzech latach od ukazania się książki *Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005*⁵ oddajemy do rąk czytelników drugi tom biografii Lecha Kaczyńskiego poświęcony w całości prezydenturze (2005–2010). Obie książki uzupełniają się wzajemnie i w całości stanowią pełną, naukową biografię polityczną Lecha Kaczyńskiego (1949–2010)⁶.

Książka składa się łącznie z pięciu rozdziałów. Mają one charakter chronologiczno-analityczny, stanowią opowieść zaczynającą się od kampanii prezydenckiej w 2005 r. aż po katastrofę lotniczą i śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego w kwietniu 2010 r.

Pomimo sześciu lat, jakie upłynęły od śmierci Lecha Kaczyńskiego, wciąż jego prezydentura nie doczekała się pełnej i naukowej analizy. Znamy rzecz jasna książki Piotra Semki⁷, Michała Majewskiego i Pawła Reszki⁸ czy Marka Migalskiego⁹ i Roberta Krasowskiego¹⁰, ale są one raczej publicystyczną interpretacją lub wizją prezydentury Kaczyńskiego, nierzadko w dodatku pozbawioną merytorycznych i faktograficznych podstaw.

Powstały jednakże opracowania i książki, których autorzy skupiają się na wybranych aspektach prezydentury Lecha Kaczyńskiego lub okolicznościach jej towarzyszących. Mamy tutaj na myśli chociażby książki Patryka Warzyńskiego¹¹, Sławomira Kmiecika¹² czy opracowania źródłowe Kancelarii Prezydenta RP¹³. Odrębną kategorię stanowią źródła relacyjne, z których najbardziej wartościowe opublikowali: Marta Kaczyńska¹⁴, Jarosław Kaczyński¹⁵, Michał Karnowski¹⁶, Paweł Kowal¹⁷ i Łukasz Warzecha¹⁸. Warto również wspomnieć w kontekście relacji o wartościowych filmach

biograficznych na temat śp. Prezydenta: *Niosła go Polska* w reżyserii Roberta Kaczmarka (2013 r.) i *Prezydent* w reżyserii Joanny Lichockiej (2013 r.).

Jednak podstawowym źródłem informacji na temat biografii prezydenckiej Lecha Kaczyńskiego były relacje, archiwalia i prasa. Korzystaliśmy m.in. z archiwaliów rodzinnych znajdujących się w posiadaniu Marty Kaczyńskiej i Jarosława Kaczyńskiego, a ponadto z Archiwum Wyodrębnionego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, Archiwum Prezydenta RP i Centralnego Archiwum Wojskowego.

* * *

Za wszelką pomoc przy powstawaniu książki składamy serdeczne podziękowania: śp. **Jadwidze Kaczyńskiej**, Marcie Kaczyńskiej i Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Dziękujemy także: Małgorzacie Sadurskiej, Pawłowi Solochowi, Annie Fotydz, Januszowi Kowalskiemu, Kazimierzowi Kujdzie, Maciejowi Łopińskiemu, Antoniemu Macierewiczowi, śp. **Konradowi Mackiewiczowi**, Barbarze Skrzypek, Dorocie Skrzypek, Mateuszowi Trawińskiemu, Andrzejowi Urbańskiemu, Witoldowi Waszczykowskiemu, Piotrowi Wojciechowskiemu, Krzysztofowi Wyszkowskiemu i Andrzejowi Zybertowiczowi.

Dziękujemy za wysiłek Wydawnictwu Fronda. Słowa podziękowania kierujemy w stronę prezesa Michała Jeżewskiego oraz dyrektora projektów wydawniczych Macieja Marchewicza.

Książkę dedykujemy pamięci Polaków, którzy zginęli w katastrofie rządowego samolotu 10 kwietnia 2010 r., w nadziei, że z ich ofiary zrodzi się silna Polska, a okoliczności tej strasznej tragedii zostaną kiedyś w pełni wyjaśnione.

Sławomir Cenckiewicz, Adam Chmielecki
Gdańsk–Warszawa, 2 kwietnia 2016 r.

■ PRZYPISY ■

1 P. Ekman, *Kłamstwo i jego wykrywanie w biznesie, polityce i małżeństwie*, Warszawa 2007, s. 286.

2 *Ibidem*, s. 288.

3 W. Chudy, *Kłamstwo jako metoda. Esej o społeczeństwie i kłamstwie* — 2, Warszawa 2007, s. 269.

4 R. Legutko, *Antykacyzm*, Kraków 2013, s. 21–22.

5 S. Cenckiewicz, A. Chmielecki, J. Kowalski, A.K. Piekarska, *Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005*, Poznań 2013.

6 Wspominaliśmy o tym we wstępie do wspomnianej wyżej książki (*ibidem*, s. 12).

7 P. Semka, *Lech Kaczyński. Opowieść arcyfalska*, Warszawa 2010.

8 M. Majewski, P. Reszka, *Daleko od Wawelu*, Warszawa 2010.

9 M. Migalski, *Nieudana rewolucja. Nieudana restauracja*, Warszawa 2010.

10 R. Krasowski, *Czas Kaczyńskiego*, Warszawa 2016.

11 P. Warzyński, *Prezydent Lech Kaczyński. Narracje niedokończone*, Toruń 2012.

12 S. Kmiecik, *Przemysł pogardy. Niszczenie wizerunku prezydenta Lecha Kaczyńskiego w latach 2005–2010 oraz po jego śmierci*, Warszawa 2013; *idem*, *Przemysł pogardy 2. Mowa nienawiści wobec Lecha i Jarosława Kaczyńskich przed i po 10 kwietnia 2010 r.*, Warszawa 2014; *idem*, *Lech Kaczyński. Bitwa o pamięć. Przewodnik po miejscach upamiętnienia prezydenta*, Warszawa 2015.

13 Mamy na myśli publikację wystąpień, listów i wywiadów oraz kalendarium spotkań lucieńskich prezydenta L. Kaczyńskiego (szczegółowa bibliografia znajduje się na końcu książki).

14 M. Kaczyńska, *Moi rodzice. Rozmawia Dorota Łosiewicz*, Warszawa, 2014.

15 J. Kaczyński, *Polska naszych marzeń*, Lublin 2011.

16 *Lech Kaczyński. Portret*, zebrał i oprac. M. Karnowski, Kraków 2010.

17 P. Kowal, *Między Majdanem a Smoleńskiem*, rozmawiają Piotr Legutko i Dobrosław Rodziewicz, Kraków 2012.

18 Ł. Warzecha, *Lech Kaczyński. Ostatni wywiad*, Warszawa 2010.



Rozdział 1

Kampania wyborcza 2005 r.

**Podwójne wybory • Wiosna Polaków
• Sprawa Anny Jaruckiej • Polska solidarna
• Parlamentarny prolog • Pierwsza tura
• Dziadek z Wehrmachtu • Dogrywka**

„Obejmując z woli Narodu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, uroczyście przysięgam, że dochowam wierności postanowieniom Konstytucji, będę strzegł niezłomnie godności Narodu, niepodległości i bezpieczeństwa Państwa, a dobro Ojczyzny oraz pomyślność obywateli będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem” – wypowiadając rotę przysięgi prezydenckiej przed Zgromadzeniem Narodowym 23 grudnia 2005 r., Lech Aleksander Kaczyński zakończył ją niewymaganym przez protokół zwrotem „Tak mi dopomóż Bóg”¹. Jak przystało na pierwszego po 1989 r. prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej niemającego związków z tajnymi służbami bezpieczeństwa PRL², Lech Kaczyński w przemówieniu inauguracyjnym zapowiedział przebudowę państwa w celu osiągnięcia większej sprawiedliwości, solidarności i skuteczności, a więc zasadniczą zmianę praktyki politycznej w pierwszym piętnastolecu istnienia III RP:

„Wiem, że decyzja podjęta przez naród w wyborach prezydenckich, a także w wyborach parlamentarnych, wyrasta z oczekiwania wielkiej, pozytywnej zmiany w życiu publicznym i społecznym.

Zadaniem, przed którym stoję ja, ale także ci wszyscy, którzy dzisiaj dźwigają w Polsce władzę, jest sprostać temu oczekiwaniu, nie zawieść nadziei, podjąć budowę nowego kształtu naszego życia. Jestem przekonany, że sens tej nadziei, która tak głęboko zapadła w umysły Polaków, można określić słowami: sprawiedliwość, solidarność, uczciwość (...).

Gdy spojrzymy na wydarzenia ostatnich 16 lat, to niczym nie uchylając twórcom naszych sukcesów, a tych sukcesów było niewiele, musimy jasno powiedzieć, że zbyt mało było solidarności, zbyt mało było sprawiedliwości, a często brakowało też i uczciwości (...).

W wielu przypadkach zabrakło gotowości do traktowania władzy jako służby publicznej oraz woli i energii do zabiegania o dobro wspólne. I właśnie w tej sferze musi nastąpić głęboka, dostrzegalna dla społeczeństwa zmiana. Jest bowiem oczywiste, iż nie ma możliwości budowania dobrego porządku publicznego bez ludzi, którzy kierują się w swoich działaniach wartościami zasadniczymi, zabiegają o dobro wspólne, gdyż jest ono dla nich wartością samą w sobie. Tylko w oparciu o takie motywacje, o pragnienie zapewnienia Polsce pomyślności w jej rozwoju, powiem więcej, jej wielkości, można dążyć do naprawy Rzeczypospolitej (...) Państwo nieprawidłowo wykonuje swe zadania i dlatego musi być oczyszczone i przebudowane (...)”³.

Prezydent Lech Kaczyński odwołał się do hasła „zmiany”, od samych początków III RP konsekwentnie podnoszonego przez niego i współpracujące z nim środowiska polityczne⁴:

„Jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej uczynię wszystko – wszystko, co możliwe – by oczekiwanie na wielką pozytywną zmianę nie zostało zawiedzione. Zwracam się do was, Rodacy, abyście mimo wszystkich zawodów raz jeszcze uwierzyli. Mamy zmienić Polskę, ale bez was jej nie zmienimy. A zmienić ją koniecznie trzeba”⁵.

Po zaprzysiężeniu na urząd Prezydenta RP tego samego dnia Lech Kaczyński podczas uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza na placu marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie przejął zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi RP. W trakcie uroczystości oddał hołd Proporcowi Zwierzchnika Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, klękając przed nim i całując go.

„Poczytuję sobie za wielki zaszczyt – powiedział prezydent – że w dniu dzisiejszym z mocy obowiązującej w Polsce Konstytucji obejmuję zwierzchnictwo nad armią, która ma tysiącletnią tradycję. Tradycję wielu zwycięstw w bitwach i wojnach, tradycję walki w obronie niepodległości Ojczyzny, tradycję powstańców czterech polskich powstań, brygad z pierwszej wojny światowej, armii okresu międzywojennego i Polskich Sił Zbrojnych w czasie drugiej wojny światowej. To piękna tradycja, tradycja wspaniała i tradycja głęboko zobowiązująca. Jesteście obrońcami Ojczyzny i ten obowiązek z honorem polskiego oficera i polskiego żołnierza musicie wykonywać na co dzień, musicie go wykonywać do końca.

Od ponad sześćdziesięciu lat żyjemy w czasach pokoju. Kolejne już pokolenie Polaków nie wie z własnego doświadczenia, co to jest wojna. Mam głęboką nadzieję, powiem więcej – jestem pewien, że także następne pokolenia Polaków będą mogły żyć i rosnąć w pokoju. Ale przyszłości nikt nie zna, dlatego Siły Zbrojne są Polsce potrzebne. Siły Zbrojne działające w ramach Paktu Północnoatlantyckiego, sprzymierzone z wieloma potężnymi sojusznikami, ale jednocześnie odrębne, nasze, polskie, białe-czerwone”⁶.

* * *

Podwójne wybory

Zanim jednak Lech Kaczyński objął najwyższy urząd w państwie, musiał przebyć długą i wyboistą drogę podczas jednej z najbardziej

wyczerpujących, najbardziej profesjonalnych, najtrudniejszych, ale też najciekawszych i najbarwniejszych kampanii politycznych w historii III RP.

Specyfika wyborów w Polsce w 2005 r. wynikała m.in. z faktu, że po raz pierwszy po 1989 r. w jednym roku kalendarzowym, w dodatku rozdzielone jedynie kilkutygodniową przerwą, miały odbyć się dwie elekcje: parlamentarna i prezydencka. Rangę podwójnych wyborów podnosił punkt zawieszenia w historii naszego kraju, w jakim znalazł się on po dekadzie dominacji postkomunistycznej lewicy. Po dwóch kadencjach rządów koalicyjnych z udziałem Sojuszu Lewicy Demokratycznej (przeznaczonych czteroletnim okresem, gdy władzę wykonawczą posiadała Akcja Wyborcza Solidarność), i również dwóch kadencjach prezydenckich Aleksandra Kwaśniewskiego Polska wprowadzić znajdowała się w strukturach politycznych i militarnych Zachodu (Unia Europejska, NATO), ale w powszechnym odczuciu życie gospodarcze, społeczne i polityczne znajdowało się w stanie rozkładu. Właściwie wszystkie patologie – brak rozliczenia z komunistyczną przeszłością, uprzywilejowanie osób i środowisk głęboko zanurzonych w PRL, korupcję, nieuczciwą prywatyzację majątku narodowego, rażące nierówności społeczne – w sposób symboliczny, a jednocześnie dobitnie praktyczny ukazała afera Rywina, która okazała się kamieniem milowym na drodze do upadku obozu postkomunistycznego. Z kolei od 2001 r. systematycznie rosło znaczenie sił politycznych zainteresowanych głęboką naprawą państwa, reprezentowanych przez Prawo i Sprawiedliwość oraz, po części, Platformę Obywatelską (zwłaszcza do 2003 r., gdy „wypychając” pierwszego przewodniczącego partii Macieja Płażyńskiego, władzę zdobył w niej Donald Tusk⁷).

W takiej sytuacji „połączone” wybory w 2005 r., po kilkunastu latach III RP, niosły Polakom nadzieję na wreszcie pełną realizację programu pokojowej rewolucji „Solidarności” z lat 1980–1981. Nie ulegało wątpliwości, że głównym środkiem w walce o ten cel musi być urząd Prezydenta RP. Paradoks – jak zauważa m.in. prof. Antoni

Dudek⁸ – polskiej polityki polega bowiem na tym, że chociaż opiera się na obowiązującym parlamentarno-gabinetowym systemie politycznym, to rządzi się symbolami, z których największym jest bodajże personifikacja władzy (w tym obozów i programów politycznych) w osobie prezydenta. Ponadto Konstytucja RP z 1997 r. przyznaje prezydentowi (choć często w sposób nieprecyzyjny, prowokujący konflikty na linii rząd-głowa państwa) część prerogatyw i kompetencji typowych dla ośrodka władzy wykonawczej. Tym samym polski ustrój polityczny posiada elementy systemu prezydenckiego (prezycencjalizmu)⁹.

Dlatego w swojej deklaracji wyborczej „Silny Prezydent – Uczciwa Polska” Lech Kaczyński zapowiadał wykorzystanie tego mandatu społecznego i aktywną prezydenturę:

„Prezydent Rzeczypospolitej pełni najwyższy urząd w państwie i jest częścią porządku publicznego, ale jest też swego rodzaju instytucją społeczną. Jestem przekonany, że przeoczenie tego faktu byłoby bardzo poważnym błędem, osłabiającym możliwości odgrywania przez prezydenta pozytywnej roli w życiu naszego kraju”¹⁰.

Wybory prezydenckie w latach 1990–2010 były tą formą rywalizacji politycznej, która cieszyła się największym zainteresowaniem Polaków i zapewniała jej zwycięzcy najszerzy mandat społeczny do sprawowania władzy¹¹. Jest to czynnik nie do przecenienia w przypadku polityków formułujących programy zasadniczej zmiany kierunków polityki państwa, tak jak miało to miejsce w przypadku Lecha Kaczyńskiego.

Mając świadomość tych niuansów ustrojowych, ale przede wszystkim wagi wyborów prezydenckich w oczach opinii publicznej oraz popularności Lecha Kaczyńskiego, kampanie parlamentarna i prezydencka PiS w 2005 r. wykorzystywały efekt synergii. Z jednej strony Lech Kaczyński deklarował, że „jako prezydent będzie czynnie zabiegał o realizację Programu PiS”, z drugiej w prezentacjach tego programu („IV Rzeczpospolita – Sprawiedliwość

dla Wszystkich”) podkreślano, że jest on honorowym prezesem ugrupowania¹². Zresztą ofertę programową przedstawioną przez PiS i jej kandydata na urząd Prezydenta RP w 2005 r. należy uznać za jedną z najbardziej profesjonalnych, merytorycznych, obszer-nych i wyczerpujących koncepcji programowych, które pojawiły się w polskiej polityce po 1989 roku. Poza programem ogólnym PiS przygotowało wówczas m.in. szczegółowy osobny program dla rolnictwa i obszarów wiejskich¹³ oraz program działań mających na celu ochronę i wzmocnienie chrześcijańskiej tożsamości Polski¹⁴.

Charakterystyczne, że swą dynamikę wybory parlamentarne i prezydenckie w 2005 r. zawdzięczały przedstawicielom lewicy, która ostatecznie nie odegrała w nich większej roli. Mowa o decyzjach prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który w maju wyznaczył termin wyborów parlamentarnych na 25 września, oraz marszałka Sejmu Włodzimierza Cimoszewicza, który zarządził wybory prezydenckie na 9 października (ewentualna druga tura miała się odbyć 23 października). Decyzję ogłosili na wspólnej konferencji prasowej, potęgując negatywne wrażenie arbitralnego decydowania we własnej sprawie. Jeszcze rok wcześniej liderzy lewicy zapowiadali, że wcześniejsze wybory parlamentarne mogłyby się odbyć latem roku 2004 lub wiosną 2005 r.¹⁵ Ostatecznie zadecydowała zapewne chłodna kalkulacja, zakładająca, że stosunkowo silny kandydat lewicy na prezydenta „podciągnie” wynik listy parlamentarnej plasującego się nisko w sondażach SLD¹⁶. Pikanterii decyzjom o terminie przeprowadzenia obu wyborów dodawał fakt, że to Włodzimierz Cimoszewicz – jako jedna z nielicznych twarzy obozu postkomunistycznego nieskompromitowana skandalami politycznymi z aferą Rywina na czele – miał być najpoważniejszym kandydatem lewicy na najwyższy urząd w państwie.

Jednak to nie Cimoszewicz, a Lech Kaczyński okazał się faworytem w stawce prezydenckich kandydatów. Był jednym z najbardziej doświadczonych polityków na scenie politycznej, od kilku lat także jednym z najbardziej popularnych. Odnosił sukcesy jako

najlepszy minister sprawiedliwości po 1989 r. i ceniony, wciąż jeszcze wówczas pełniący swą funkcję prezydent miasta stołecznego Warszawy. Wreszcie był honorowym prezesem Prawa i Sprawiedliwości, głównej partii niosącego nadzieję na zmiany obozu post-solidarnościowego. Działalność publiczna Lecha Kaczyńskiego stanowiła konsekwentny ciąg pozytywnych zmian w kolejnych obszarach życia publicznego i sytuowała go jako naturalnego kandydata do wyścigu prezydenckiego. Uważał tak sam Kaczyński, który już jako głowa państwa wspominał:

„Walka z przestępczością, którą podjąłem jako minister sprawiedliwości, poprzez prezydenturę Warszawy, doprowadziła do miejsca, gdzie jestem obecnie”¹⁷.

Kandydatura Lecha Kaczyńskiego zdawała się mieć poparcie wśród centroprawicowych wyborców, podobnie jak obie opozycyjne wówczas partie. Podział ról w zapowiadanej przez komentatorów i część polityków powyborczej koalicji PO-PiS dyktowały nieco na wyrost sondaże opinii publicznej, od jesieni 2003 r. konsekwentnie sygnalizujące większe poparcie społeczne dla ugrupowania Donalda Tuska niż Jarosława Kaczyńskiego. Obie partie działały w odmiennych kontekstach sytuacyjnych, bo podczas gdy PO cieszyła się większą popularnością niż jej lider, w przypadku PiS to jeden z liderów (a jednocześnie kandydat na prezydenta) miał większe poparcie społeczne niż partia. Sugerowało to realizację scenariusza, gdzie szefem wspólnego rządu zostałyby kandydat zwycięskiej PO, a równowagę sił wewnątrz obozu postsolidarnościowego zapewniałby jako prezydent Lech Kaczyński. Za takiego „PO-PiS-owego” żelaznego premiera *in spe* od czasu działalności sejmowej komisji śledczej badającej aferę Rywina uchodził Jan Rokita, który w kampanii wyborczej reklamował się nawet przedwcześnie na plakatach jako „premier z Krakowa”. Przewodniczący PO Donald Tusk miał być natomiast, niejako z urzędu, kandydatem partii w wyborach prezydenckich.

Wiosna Polaków

„Start ostry” politycznego sezonu 2005 stanowiła spektakularna kampania informacyjna Prawa i Sprawiedliwości zatytułowana „Wiosna Polaków”. Była to wielka trasa, podczas której politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele w ciągu trzech miesięcy (marzec–czerwiec 2005 r.) zaprezentowali program partii mieszkańcom 22 największych miast w Polsce. Poszczególne konwencje były organizowane z niepraktykowanym wcześniej nad Wisłą profesjonalizmem i rozmachem, z towarzyszeniem występów artystów¹⁸ i różnego rodzaju materiałami informacyjnymi¹⁹. Komentatorzy i specjaliści od marketingu politycznego docenili tę nową jakość polskiej sceny politycznej, doszukując się podobieństw – zresztą słusznie – do stylu konwencji organizowanych przez amerykańskie partie polityczne²⁰. W tym przypadku jednak „amerykańskość” odnosiła się nie tylko do skuteczności komunikacji z wyborcami, sprawności techniczno-organizacyjnej i przysłowiowych baloników, ale również zdolności do kreowania strategii wyborczej i długofalowego scenariusza działań. Prawo i Sprawiedliwość, konsultując swój program ze społeczeństwem, pokazało, że traktuje je jako podmiot, a nie przedmiot polityki. Samo PiS jawiło się w świetle tej kampanii jako profesjonalny podmiot polityczny.

Siłą akcji „Wiosna Polaków” był jednak przede wszystkim precyzyjny i szczegółowy program budowy IV Rzeczypospolitej, zawarty m.in. w projekcie nowej konstytucji. Program ten postulował wzmocnienie instytucji Prezydenta RP, co miało uzasadnienie zarówno merytoryczne, jak i techniczne. Urząd prezydenta miał być gwarantem i warunkiem *sine qua non* budowy IV Rzeczypospolitej²¹.

To właśnie dlatego, chociaż „Wiosna Polaków” miała charakter partyjny, na pierwszej konwencji kampanii 19 marca 2005 r. w warszawskiej Sali Kongresowej Lech Kaczyński ogłosił zamiar kandydowania w jesiennych wyborach prezydenckich. Nie było to dużym zaskoczeniem, ponieważ kandydatura byłego ministra sprawiedliwości w kontekście wyborów prezydenckich funkcjonowała

praktycznie od początku istnienia partii. Kandydat PiS wkrótce otrzymał od potencjalnych wyborców swoistą premię za program i determinację okazaną w jego realizacji, obejmując w kwietniu 2005 r. prowadzenie w sondażach prezydenckich. W tym samym czasie wzrosły także notowania PiS, choć wciąż liderem rankingów pozostawała Platforma²².

Konkurenci

Do rywalizacji o Pałac Prezydencki w 2005 r. oprócz Lecha Kaczyńskiego wystartowało 15 kandydatów. Największą grupę stanowili liderzy swoich środowisk politycznych, których celem było bardziej zaprezentowanie programu i zaznaczenie medialnej obecności wysuwających ich partii, niż realne włączenie się do prezydenckiej walki. Do tego grona można zaliczyć Henrykę Bochniarz (bezpartyjną kandydatkę Partii Demokratycznej), Marka Borowskiego (Socjaldemokracja Polska)²³, Macieja Giertycha (Liga Polskich Rodzin), Jarosława Kalinowskiego (Polskie Stronnictwo Ludowe), Janusza Korwin-Mikkego (Platforma Janusza Korwin-Mikke, Unia Polityki Realnej) i Andrzeja Leppera (Samoobrona RP). Mogli oni urwać kilka procent poparcia poważniejszym kandydatom i w ten sposób odegrać swoją rolę w procesie wyborczym. Poza tym w wyborach prezydenckich w 2005 r. wystartowało liczne grono egzotycznych kandydatów, którym udało się jednak zebrać pod swoimi kandydaturami wymagane ordynacją wyborczą 100 tys. podpisów: Leszek Bubel, Liwiusz Ilasz, Jan Pyszko, Adam Słomka, Stanisław Tymiński i Daniel Podrzycki, który ostatecznie nie miał szansy zweryfikować swojego poparcia w wyborach (zginął tragicznie w wypadku samochodowym we wrześniu 2005 r.).

Jednak najpoważniejszymi kandydatami obok Lecha Kaczyńskiego byli Zbigniew Religa, Włodzimierz Cimoszewicz i Donald Tusk. Każdy z nich na innym etapie kampanii wydawał się faworytem i głównym rywalem kandydata PiS.

Do czasu rozpoczęcia kampanii PiS „Wiosna Polaków” liderem przedwyborczych badań poparcia społecznego był prof. Zbigniew Religa, wybitny i powszechnie szanowany kardiochirurg, popierany przez konglomerat niewielkich ugrupowań centroprawicowych²⁴. Choć od kilkunastu lat wykazywał ambicje polityczne, a w 2005 r. kończył już drugą kadencję senatora RP, podtrzymywał mit apolitycznego fachowca angażującego się w życie publiczne. Jednak po dobrym początku (chwytliwe hasło wyborcze „Z sercem dla Polski”, podróże po kraju specjalnym autokarem) kampania Religi straciła dynamikę, co może dziwić, zważywszy, że w jego sztabie znajdowali się m.in. polityczny wyjadacz i sprawny zakulisowy organizator Artur Balazs oraz specjalista od marketingu politycznego Eryk Mistewicz. Elektorat prof. Religi zaczęli przejmować najpierw Lech Kaczyński i Włodzimierz Cimoszewicz, później także Donald Tusk. I to właśnie tego ostatniego Zbigniew Religa wskazał oficjalnie swym wyborcom jako tego, na którego powinni głosować, gdy 2 września 2005 r. sam z powodu coraz gorszych wyników w sondażach zrezygnował z udziału w wyborach. Religa został wówczas przewodniczącym Komitetu Honorowego kandydata PO na prezydenta, co nie przeszkodziło mu tydzień po II turze wyborów objąć teki ministra zdrowia w rządzie PiS (notabene stanowi to dowód dużej politycznej kultury i odpowiedzialności zarówno prof. Religi, jak i liderów PiS). Kilka lat później prof. Zbigniew Religa tak uzasadniał swoją decyzję:

„Uważałem, że zarówno charakter Donalda Tuska, jak i jego program są mi bardzo bliskie (...) Wydawało mi się, że głoszone przez niego poglądy są mi bliższe niż to, co proponował Lech Kaczyński (...) Dziś wiem, że Tusk nie nadaje się na prezydenta, i nie chciałbym, aby kiedykolwiek nim został”²⁵.

Donald Tusk oficjalnie zgłosił swój udział w wyborach prezydenckich 2 maja 2005 r. na wiecu w auli Politechniki Warszawskiej. Podczas mitingu doszło do nieprzyjemnego zgrzytu, który został



■ **Lech Kaczyński
w sztabie**

wyborczym tuż
po ogłoszeniu
wyników drugiej
tury wyborów
prezydenckich
2005 roku.

jednak zignorowany przez zdecydowaną większość obserwatorów sceny politycznej. Zaprezentowane wówczas hasło kampanii „Odważnie, ale z rozwagą” było kopią dewizy Gdańska, którą wiele lat wcześniej przyjął za swoje życiowe motto (powołując się na nie także w polityce)... poprzedni szef PO Maciej Płażyński. Ze strony Tuska, który zaledwie dwa lata wcześniej bez skrępowań wypchnął Płażyńskiego z partii, była to wyjątkowa hipokryzja i może dlatego kandydat PO dość szybko zrezygnował z tego hasła, przerzucając się na nowe: „Prezydent Tusk. Człowiek z zasadami”.

„Będę się ubiegał o urząd prezydenta. Kaszubi długo zastanawiają się nad ważną decyzją, ale jeśli ją podejmują, doprowadzają do zwycięskiego końca” – zadeklarował Donald Tusk, ogłaszając swoją decyzję²⁶. Przedsnak stylu kampanii prowadzonej przez polityków PO zaprezentowali natomiast przedstawiający w auli politechniki kandydaturę Tuska Zyta Gilowska i Jan Rokita, tworzący wówczas z szefem partii nowy triumwirat po rozejściu się trzech „tenorów” (Tuska, Płażyńskiego i Olechowskiego). Rokita zaatakował głównego rywala Donalda Tuska, Lecha Kaczyńskiego. „Chcemy, by zmiana, która wisi w powietrzu, miała twarz Donalda Tuska (...) mam wrażenie, że szeryf z Dzikiego Zachodu będzie niekompletną ikoną tej zmiany, bo dziś w Polsce nie chodzi tylko o przywrócenie porządku, ale także o impuls do rozwoju gospodarki, wolnej przedsiębiorczości” – czynił aluzję do kandydata PiS Jan Rokita²⁷.

Platforma utrzymywała w kampanii ostrą antypisowską retorykę, obliczoną zapewne na wzbudzenie wśród Polaków strachu przed rzekomo antyobywatelską i antydemokratyczną władzą PiS i Lecha Kaczyńskiego²⁸. Kulminacją politycznej agresji był atak Donalda Tuska podczas II Nadzwyczajnej Konwencji Platformy Obywatelskiej 19 czerwca 2005 r. w warszawskiej hali Torwar. Warto zwrócić uwagę, że kandydat PO na prezydenta nazwał wówczas znacząco potencjalnego koalicjanta „naszymi konkurentami”:

„Ci, którzy obiecują jałmużnę, w rzeczywistości chcą podatkami zabrać Polakom jeszcze więcej pieniędzy. Powstrzymajmy

ich! (...) Nasi konkurenci mówią o rewolucji moralnej albo leczeniu serc Polaków. Pod hasłami naprawy państwa, za pomocą kontroli i opresyjności chcą nałożyć kaganiec obywatelom. My nie będziemy na siłę leczyć obywateli, bo to nie Polacy chorują. Wyleczymy polskich polityków. Nałożymy kaganiec władzy!”²⁹.

Sprawa Anny Jaruckiej

Gdy Zbigniew Religa tracił poparcie, a Tusk sondażowo dreptał w miejscu, zyskiwał Włodzimierz Cimoszewicz, który mimo wcześniejszych deklaracji o wycofaniu się z życia publicznego ogłosił swój start w wyborach prezydenckich 28 czerwca 2005 r. Szefem jego komitetu wyborczego została żona wciąż urzędującego prezydenta Jolanta Kwaśniewska, Aleksander Kwaśniewski zaś udzielił mu oficjalnego poparcia. Cimoszewicz wyraźnie pozbywał się balastu grzechów pozostałych liderów lewicy (formalnie startował jako kandydat niezależny, chociaż szefem jego sztabu wyborczego została posłanka SLD Katarzyna Piekarska), nawiązując wprost do (pozornie) koncyliacyjnego stylu prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego³⁰. Nawet hasło wyborcze marszałka Sejmu „Niech połączy nas Polska” nawiązywało do sloganów lewicowego prezydenta z lat 1995 („Wyberzmy przyszłość”) i 2000 („Dom wszystkich Polska”).

Tak jak w pierwszej wiosennej fazie kampanii rywali zaskoczył Lech Kaczyński, w drugiej, latem, najbardziej skuteczna okazała się właśnie przyjęta przez Włodzimierza Cimoszewicza taktyka „świecenia światłem odbitym” Aleksandra Kwaśniewskiego. Kandydat lewicy na przełomie czerwca i lipca 2005 r. znalazł się na czele rankingów poparcia. Stał się faworytem, gdy badania zaczęły wskazywać, że wygra również w bardzo prawdopodobnej II turze. Tylko Lech Kaczyński mógł nawiązać z nim walkę w ostatecznym prezydenckim starciu. Z kolei Donald Tusk w symulacjach II tury przegrywał z Cimoszewiczem z kretesem (33 do

67 proc.), wypadając gorzej niż Zbigniew Religa, a nawet Andrzej Lepper³¹. I to właśnie dla kandydata Platformy Obywatelskiej wysokie notowania marszałka Sejmu stanowiły najgorszą wiadomość – jego sondażowe sukcesy w sposób naturalny ustawiały agendę tej kampanii jako rywalizację obozu posierpniowego reprezentowanego przez PiS i Lecha Kaczyńskiego z postkomunistyczną lewicą. Sprzyjał temu również jeden z motywów programowych kandydata PiS, bowiem hasło IV Rzeczypospolitej oznaczało w największym skrócie zerwanie z patologiami postkomunizmu. Warto dodać, że polaryzacja wszystkich wcześniejszych kampanii parlamentarnych i prezydenckich w Polsce dotyczyła właśnie nabierającego znamion historycznego sporu „podziału postkomunistycznego”³².

Zneutralizowanie Włodzimierza Cimoszewicza było dla Donalda Tuska kluczowe z jeszcze jednego powodu. Polityk z Podlasia i Lech Kaczyński zdecydowanie wyróżniali się pozytywnie ze stawki wszystkich kandydatów doświadczeniem na wysokich stanowiskach państwowych i znajomością różnych obszarów funkcjonowania państwa. Lech Kaczyński w przeszłości był m.in. ministrem stanu ds. bezpieczeństwa narodowego, prezesem Najwyższej Izby Kontroli, ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, natomiast w trakcie kampanii – prezydentem największego miasta w Polsce³³. Włodzimierz Cimoszewicz był wcześniej ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, premierem, ministrem spraw zagranicznych, a w trakcie kampanii marszałkiem Sejmu. Obaj mieli za sobą doświadczenia w sprawach obronności i bezpieczeństwa narodowego (ze wskazaniem na Kaczyńskiego) i polityki międzynarodowej (tu górował Cimoszewicz), a to przecież kluczowe obszary kompetencji prezydenckich. Obaj byli prawnikami i mieli już za sobą, nieudany wprawdzie, udział w wyborach prezydenckich (Cimoszewicz w 1990 r., Kaczyński w roku 1995). Kandydaci lewicy i PiS już w punkcie wyjścia byli zatem politykami „prezydenckiego formatu”. Na ich tle Donald Tusk, z doświadczeniem szefa KLD, Platformy oraz

wicemarszałka Senatu i Sejmu, jawił się jako bokser wagi średniej porównywany z zawodnikami wagi ciężkiej.

W takim kontekście sytuacyjnym latem 2005 r. wybuchła tzw. sprawa Anny Jaruckiej, która, jak się miało okazać, skutecznie wyeliminowała z prezydenckiej rywalizacji Włodzimierza Cimoszewicza.

Afera dotyczyła nieprawidłowości w oświadczeniu majątkowym za 2001 r., które Cimoszewicz jak każdy poseł złożył w Sejmie w 2002 r. Uderzała zatem w kwestię przejrzystości finansów i działań polityków, kluczową w kontekście ówczesnego klimatu politycznego i społecznego. O sprawie jako pierwszy poinformował tygodnik „Wprost” w lipcu 2005 r., zarzucając Cimoszewiczowi, że w swoim oświadczeniu majątkowym zataił posiadanie akcji PKN Orlen. Co więcej, marszałek Sejmu miał je sprzedać w podejrzanych okolicznościach w 2001 r., a dokładnie w dniach, gdy ważyły się notowania spółki w związku z planami jej zakupu przez biznesmena Jana Kulczyka. Cimoszewicz miał zarobić na transakcji sprzedaży walerów największego polskiego koncernu (w dodatku w udziale skarbu państwa) 160 tys. zł.³⁴

Kandydat lewicy tłumaczył się, że w całej transakcji był tylko pośrednikiem, działającym w dużej części w imieniu i za pieniądze należące do mieszkającej w Stanach Zjednoczonych córki (pozostała kwota na zakup akcji Orlenu w 2000 r., które sprzedał rok później, miała pochodzić z kredytu).

Sprawa nabrała przyspieszenia, gdy na początku sierpnia 2005 r. do polityków PO związanych z pracami sejmowej komisji śledczej badającej tzw. aferę Orlenu³⁵ zgłosiła się była asystentka Cimoszewicza Anna Jarucka z oświadczeniem na temat pełnomocnictwa otrzymanego od ówczesnego szefa, a upoważniającego ją do zmiany treści feralnego oświadczenia majątkowego i usunięcia z niego informacji o posiadaniu akcji PKN Orlen. Jarucką z członkiem komisji ds. afery Orlenu Konstantym Miodowiczem skontaktował Wojciech Brochwicz, prawnik, były wiceminister spraw wewnętrznych w rządzie AWS–UW i oficer służb specjalnych³⁶. „Jarucka przyszła do mojej kancelarii 9 sierpnia. Nigdy wcześniej

jej nie widziałem. Opowiedziała mi o podminanie oświadczenia Cimoszewicza i poprosiła o kontakt z kimś z komisji śledczej. Znam tylko posła Miodowicza, więc zwróciłem się do niego. Uznałem, że nie mam prawa odesłać jej z kwitkiem” – oświadczył jeszcze w trakcie kampanii wyborczej Wojciech Brochwicz³⁷. Po latach ten był oficer UOP i współzałożyciel Platformy Obywatelskiej, przyznając, że zasugerował Jaruckiej, by ze swoimi informacjami nie zgłaszała się do policji lub prokuratury, przedstawił jeszcze inną linię obrony:

„Przecież Cimoszewicz nie miał żadnych szans. To była i tak skórka niewarta wyprawki. Gdybym chciał komuś uniemożliwić dojście do prezydentury, działałbym przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu. Bo dobrze wiedziałem, co to będzie za prezydent, a szanse na prezydenturę miał bardzo duże, co przecież się potwierdziło”³⁸.

Konstanty Miodowicz, wysoko postawiony poseł PO i członek komisji śledczej ds. afery Orlenu, zdecydował się upublicznić wersję wydarzeń Anny Jaruckiej pomimo tego, że dysponował jedynie wątplą poszlaką w postaci kopii rzekomego upoważnienia Włodzimierza Cimoszewicza dla swojej asystentki. Jak się później okazało, Jarucka sfałszowała ten dokument, posługując się nieudolnie nieużywany od kilku lat faksymile podpisu Cimoszewicza³⁹. Miodowicz nie wziął również pod uwagę możliwych motywów działania swojej informatorki. Tymczasem okazało się, że pomiędzy Jarucką a Cimoszewiczem istniał konflikt od czasu, gdy ten jako minister spraw zagranicznych odmówił swojej podwładnej protekcji w wyjeździe na placówkę dyplomatyczną do Włoch⁴⁰.

Pomimo tych wątpliwości komisja badająca aferę Orlenu zaledwie po kilku dniach od pojawienia się nowej informacji (16 sierpnia 2005 r.) przesłuchała Annę Jarucką, która podtrzymała na forum komisji swoją wersję wydarzeń⁴¹. Włodzimierz Cimoszewicz już w trakcie wcześniejszego przesłuchania przed sejmowymi śledczymi (30 lipca 2005 r.) przyznał się do pomyłki i niewypisania akcji

Orlenu w oświadczeniu majątkowym za 2001 r. złożonym w kwietniu 2002 r.⁴²

Sprawa Jaruckiej doprowadziła do spadku wiarygodności kandydata lewicy na prezydenta, załamania się jego notowań i w konsekwencji rezygnacji Włodzimierza Cimoszewicza z kandydowania 14 września 2005 r. „w proteście przeciwko deprawowaniu obyczajów w Polsce przez część polityków i część dziennikarzy”. „Doszło na skalę wcześniej niespotykaną do posługiwania się kłamstwami, oszczerstwami i bezpodstawnymi zarzutami. Bez skrupułów sięgnięto do fałszywych świadków i dokumentów” – uzasadnił swoją decyzję marszałek Sejmu⁴³.

Afera Jaruckiej przez wielu komentatorów i polityków była interpretowana jako prowokacja służb specjalnych mająca przysłużyć się kandydaturze Donalda Tuska. Takie oceny prowokował udział w sprawie Konstantego Miodowicza i Wojciecha Brochwicza, w latach dziewięćdziesiątych pułkowników Urzędu Ochrony Państwa, którzy należeli do związanego z Unią Wolności, a później PO środowiska funkcjonariuszy służb specjalnych, oskarżanych o sprzeczną z prawem ingerencję w życie polityczne. Do tego grona, które łączyły m.in. interesy, bliskie relacje towarzyskie i wspólne doświadczenia z anarchistyczno-pacyfistycznej młodoci, zaliczyć można także byłego członka Unii Wolności Piotra Niemczyka i ministra spraw wewnętrznych w drugim rządzie Donalda Tuska Bartłomieja Sienkiewicza⁴⁴. Sienkiewicz był w 2005 r. doradcą w sztabie wyborczym kandydata PO, zarzeka się jednak, że ze sprawą Jaruckiej nie miał nic wspólnego⁴⁵.

Po rezygnacji Włodzimierza Cimoszewicza Lech Kaczyński oświadczył, że „zawsze sprzeciwiał się wykorzystywaniu w kampanii służb specjalnych”⁴⁶. W tym komentarzu słychać było echa własnych doświadczeń byłego ministra sprawiedliwości, który w latach dziewięćdziesiątych był obiektem inwigilacji zarówno cywilnych, jak i wojskowych służb specjalnych, m.in. operacji UOP z wykorzystaniem byłego agenta SB, później kadrowego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa MSW Janusza Molki⁴⁷ oraz sprawy

inwigilacji prawicy, skierowanej przede wszystkim w związane z nim środowisko polityczne Porozumienia Centrum⁴⁸.

O tym, że istniało drugie dno sprawy Jaruckiej, przyznał po latach, w rozmowie z Cimoszewiczem, nawet Donald Tusk, który powiedział dawnemu rywalowi: „Chciałbym, żebyś wiedział, że nie stałem za sytuacją z kampanii wyborczej. To nie było przeze mnie inspirowane. Dzisiaj mam takie wrażenie, że pewnie powinienem był powstrzymać moich kolegów, ale tego nie zrobiłem”⁴⁹.

„Nie sposób też nie dostrzec udziału w tej sprawie wysokich oficerów służb specjalnych, dzisiaj blisko związanych z Platformą Obywatelską. Wiemy z całą pewnością, że to oni doprowadzili przed komisję świadka znieślawiającego Włodzimierza Cimoszewicza. Trudno więc nie zwrócić uwagi na odpowiedzialność ręki trzymającej nóż, którym usiłowano dokonać tego politycznego zabójstwa. Tłumaczenie, że panowie pułkownicy dali się nabrać kłamiącej kobiecie, rzecz jasna trzeba włożyć między bajki. Mamy przecież do czynienia z wysokiej klasy specjalistami wywiadu, których zawodem jest aranżowanie podobnych sytuacji, a kiedy trzeba – skuteczne im przeciwdziałanie. Są do tego specjalnie przygotowywani i takie operacje jak z Jarucką mają w małym palcu” – nawet jeśli ten pisany na gorąco komentarz Tomasza Nałęcz⁵⁰ do sprawy Jaruckiej uznamy za efekt rozgoryczenia rzeczownika zaatakowanego kandydata, trudno nie zauważyć, że wybuch tej afery zbiegł się w czasie ze wzrostem notowań Donalda Tuska. W ten sposób sprawa Anny Jaruckiej przeszła do podręczników marketingu politycznego jako klasyczny przykład wykorzystania czarnego PR w rywalizacji politycznej.

Polska solidarna

Z chwilą gdy 14 września 2005 r. z prezydenckiej rywalizacji odpadł Włodzimierz Cimoszewicz, stało się jasne, że rozgrywka rozegra się wewnątrz centroprawicowego obozu, który zdaniem wielu

wyborców i komentatorów miał wspólnie rządzić. Przetasowania w stawce kandydatów zaczęły się już w sierpniu 2005 r. Obie kampanie Prawa i Sprawiedliwości – parlamentarna i prezydencka – wytraciły rozmach. Sierpień to w Polsce tradycyjny miesiąc politycznych wakacji. Zmęczeni prowadzoną od wiosny intensywną kampanią wyborczą, niezwalniającą przecież z realizacji także innych obowiązków (szefowanie partii, prezydentura Warszawy), Lech i Jarosław Kaczyńscy postanowili zregenerować siły podczas urlopu na północy Polski. Przyszły prezydent wspominał:

„Ten urlop był niezbędny. W poprzednim roku ze względów osobistych, śmierć Taty, choroba Mamy – nie mieliśmy chwili odpoczynku. Ja byłem bardzo zmęczony organizacją i otwarciem Muzeum Powstania Warszawskiego. A przed nami było apogeum kampanii. Słowem nie było wyjścia, musieliśmy wyrwać się na dwa tygodnie, z niewielką przerwą. I wiem, że bez tego wypoczynku nie wytrzymałibymy późniejszego starcia, tych wszystkich przełomów”⁵¹.

Jednak latem 2005 r. także sztabowcy Lecha Kaczyńskiego przykładali mniejszą uwagę do żmudnej codziennej pracy przy rozpędzonej maszynie wyborczej. Niewątpliwie był to jeden z poważniejszych błędów popełnionych przez strategów dobrze w całości prowadzonej kampanii. W obszernym katalogu możliwości informacyjnych i promocyjnych istnieją przecież również takie, które można wykonywać bez osobistego udziału głównych zainteresowanych.

Tak postąpił niemrawy dotychczas sztab Donalda Tuska, który pod nieobecność konkurentów zintensyfikował w sierpniu swoją kampanię. Lider PO m.in. odwiedził na Białorusi przywódców polskiej mniejszości narodowej i odbył rozmowę z szefową CDU i kandydatką niemieckich chadeków na urząd kanclerza Angelą Merkel. Jak wskazuje prof. Antoni Dudek, budowało to jego wizerunek polityka zaangażowanego w obronę polskich interesów na arenie międzynarodowej⁵².

Większy wpływ na dynamiczny wzrost notowań Tuska w drugiej połowie wakacji miał jednak rozmach sierpniowej kampanii reklamowej. W całym kraju pojawiły się tysiące wielkowymiarowych billboardów i plakatów (tzw. citylightów na wiatkach przystankowych komunikacji miejskiej) ze zdjęciem lidera PO i hasłem „Prezydent Tusk. Człowiek z zasadami”. Oprócz skali kampanii sprytnym zabiegiem marketingowym okazało się zastąpienie mało „prezydenckiego” imienia kandydata PO (tak wskazywały badania opinii publicznej) dodającym powagi określeniem urzędu prezydenckiego. Przy czym sztab Tuska uzyskał duży efekt stosunkowo małym kosztem, ponieważ ceny nośników reklamy zewnętrznej są w okresie wakacji najtańsze. W efekcie na przełomie sierpnia i września 2005 r., zaledwie na kilka tygodni przed wyborami parlamentarnymi stanowiącymi przygrzywkę do starcia prezydenckiego, PO w sondażach umocniła się na prowadzeniu z poparciem oscylującym wokół 30 proc., a jej prezydencki kandydat zbliżył się do swojego głównego konkurenta na niebezpiecznie bliską odległość kilku punktów procentowych. W odpowiedzi sztabowcy Lecha Kaczyńskiego zintensyfikowali kampanię billboardową swojego kandydata. Do wcześniejszych plakatów z hasłami „Silny prezydent, uczciwa Polska” i „Prezydent IV Rzeczypospolitej” dołączyły kolejne z deklaracją „Odwaga i wiarygodność”. Jednak w tym aspekcie wyborów PiS już do końca nie odrobiło strat do PO.

Część plakatów ze zdjęciem Donalda Tuska formalnie nie dotyczyła udziału w wyborach prezydenckich, lecz promocji książki jego autorstwa *Solidarność i duma*⁵³, wydanej w koedycji przez gdańskie wydawnictwo „słowo/obraz terytorium” i spółkę Millenium Media, należącą do przyjaciół Tuska Wojciecha Dudy i Grzegorza Fortuny⁵⁴. Zarówno na okładce, jak i plakatach reklamujących książkę dominowało wielkie zdjęcie kandydata PO, a brzmienie tytułu wprost kojarzyło się z hasłem wyborczym. Co ciekawsze, publikację tej książki akurat w gorącym okresie kampanii wyborczej można potraktować jako „wiano”, które do Platformy Obywatelskiej wniósł

rozpoczynający wówczas karierę polityczną lubelski biznesmen Janusz Palikot. W czerwcu 2005 r. został on członkiem PO, a niedługo później szefem lubelskich struktur partii i liderem jej regionalnej listy do Sejmu. Jak sam wspominał, w łaski partyjnego lidera wkupił się, aprobując jego propozycję wydania książki oraz „zwiększając celowo budżet na promocję”⁵⁵. Publikacja miała się sprzedawać słabo, ale Janusz Palikot wkrótce został posłem, zaufanym człowiekiem Tuska i politycznym harcownikiem wykonującym w imieniu PO brudną robotę bezpardonowych ataków na PiS i Lecha Kaczyńskiego.

Gdy kampania Donalda Tuska nabierała przyspieszenia, a sztabowcy Lecha Kaczyńskiego popadli w wakacyjny marazm, kandydatowi PiS w dotrzymaniu wyborczego kroku pomogła rodzina, która wspólnie z zaprzyjaźnionym sąsiadem (później oficjalnym prezydenckim fotografem) Maciejem Chojnowskim zaproponowała pokazanie Polakom rodziny lidera prawicy. Lech Kaczyński zgodził się na to mimo obiekcji dotyczących upublicznienia wizerunków najbliższych mu osób. Córka prezydenta, Marta Kaczyńska, wspominała, że:

„Kampania ojca wówczas nieco spowolniała, był okres wakacji. Ku zaskoczeniu mojej mamy i mojemu tak zwani spin doktorzy wyjechali na wakacje i bardzo trudno było o kontakt z nimi. Brakowało pomysłu na kolejny etap kampanii (...) Powstały fotografie, na których byli moi rodzice, Ewa, mój pierwszy mąż i ja. Potem zrodził się pomysł, by przygotować projekt plakatu. Nie było to poprzedzone żadnymi badaniami opinii publicznej ani sondażami. Pomysł był całkowicie spontaniczny. Trudno było mi w to uwierzyć, ale wiem, że w tamtym czasie Lech Kaczyński był postrzegany jako samotnik. Tata był zawsze bardzo rodzinnym, wrażliwym, czułym i kochającym człowiekiem. I tak wyglądał na tych zdjęciach. Prawdziwie. Był rozluźniony, uśmiechnięty. Hasło na billboardzie głosiło: »Rodzina. Uczciwość. Przyszłość« (...) Jeśli ten plakat choć trochę pomógł ta- cie wygrać, to cieszę się, że na nim byłam”⁵⁶.

Spontaniczny pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, który pozwolił kampanii kandydata PiS wrócić na dobre tory. Nie bez znaczenia był również fakt, że podczas przygotowywania materiałów wyborczych z udziałem rodziny Lech Kaczyński mógł zregenerować siły duchowe, m.in. dzięki wspólnym chwilom z ukochaną wnuczką Ewą.

Działania Donalda Tuska i jego sztabu skupiały się głównie na kwestiach wizerunkowych. Tymczasem Lechowi Kaczyńskiemu, z trudem namówionemu na udaną sesję rodzinną, udało się skierować obie kampanie (parlamentarną i prezydencką) na merytoryczne tory w oparciu o podział na „Polskę solidarną” i „Polskę liberalną”. Wyborczy rok 2005 udowodnił po raz kolejny zdolności analityczne Lecha i Jarosława Kaczyńskich oraz trafność stawianych przez nich diagnoz społecznych i politycznych. Realny konflikt pomiędzy solidarną i liberalną strategiczną wizją rozwoju Polski (nabierający znaczenia kosztem „podziału postkomunistycznego” wraz z głębokim i zapowiadającym się długotrwale kryzysem lewicy) zdefiniował już w trakcie kampanii „Wiosna Polaków” Jarosław Kaczyński⁵⁷. Wraz z rosnącą w siłę kandydaturą przedstawiciela postkomunistycznej lewicy kampanijny spór czasowo przesunął się w stronę innego trafnego, choć nieco bardziej emocjonalnego niż merytorycznego, podziału na „Polskę Armii Krajowej” i „Polskę Polskiej Partii Robotniczej”. Podział na Polskę solidarną i liberalną powrócił po wyeliminowaniu z prezydenckiej rywalizacji kandydata postkomunistycznej lewicy. Trafnie diagnozując rzeczywistość polityczną, wbrew zapewnieniom o jednolitym bloku PO i PiS, Lech Kaczyński już w dniu rezygnacji Cimoszewicza przekonywał:

„To, co uczynił Cimoszewicz, zamyka spór o przeszłość. Nie jest to już spór między ludźmi, którzy zdobywali ostrogi w tamtym systemie, a tymi, którzy tamtemu systemowi starali się przeciwstawić. Teraz jest to spór o przyszłość. Czy kraj ma się rozwijać w oparciu o rozwiązywanie ortodoksyjnie liberalne. Podatek liniowy daje dużo



■ **Spotkanie**
ze związkowcami
z „Solidarności”,
5 czerwca 2009 r.

[Kup książkę](#)

tym, którzy zarabiają dużo, a odbiera tym, którzy zarabiają mało⁵⁸. Społeczeństwo powinno to zrozumieć”⁵⁹.

Hasło Polski Solidarnej było właściwie konsekwentnym rozwinięciem programu budowy silnego i skutecznego państwa – IV Rzeczypospolitej, ponieważ, jak podkreślał Lech Kaczyński, program ten łączył konserwatywne stanowisko w kwestiach moralnych i obyczajowych z prospołecznym, socjalnym programem gospodarczym:

„Mój program to Polska sprawiedliwa. Taka, w której każdy ma równe szanse, a uczciwa praca pozwala zapewnić godne życie. Która pomaga przedsiębiorczym i troszczy się o słabszych. Gdzie bandyci siedzą w więzieniach, a państwo stoi po stronie obywateli. Mój program to IV Rzeczpospolita bez afer, korupcji i niekompetencji. To spokój o wykształcenie naszych dzieci i pogodna codzienność starszych. To trwałość zasad i dotrzymywanie obietnic”⁶⁰.

Podział na Polskę solidarną i liberalną nie był pozorny, dotyczył zasadniczych odpowiedzi na pytania stawiane sobie przez Polaków w codziennych wyborach życiowych. Dobrze ilustrowało to pięć wielkich obszarów („pięć wielkich pytań”) sformułowanych w trakcie kampanii przez Lecha Kaczyńskiego, dotyczących liberalnego lub solidarnego podejścia do kształtu systemu podatkowego, odpłatności za studia wyższe, lustracji majątkowej polityków, dożywiania dzieci oraz podatków na żywność i leki⁶¹.

Podział na Polskę solidarną i liberalną uwypuklił tuszowane wcześniej w obozie centroprawicy różnice w interpretacji hasła reformy państwa po rządach postkomunistów. Podczas gdy PiS w programie IV Rzeczypospolitej akcentowało wzmocnienie instytucji państwa (na czele z urzędem prezydenta) w celu realizacji polityki opartej na praworządności i etyce (hasło „rewolucji moralnej”), sprawiedliwości, walce z przestępczością i korupcją, rozliczeniu przeszłości i budowaniu patriotycznej tożsamości, Platforma głosiła chwytliwe hasła ograniczenia struktur państwa kosztem

enigmatycznie rozumianej „obywatelskości” – likwidacji Senatu, zmniejszenia o połowę liczby posłów, zniesienia immunitetu parlamentarnego i wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych. W tym wszystkim czuć było ducha populistycznego określenia przez Donalda Tuska kilka lat wcześniej całej elity politycznej jako „klasy próżniaczej”. W programie gospodarczym PiS proponowało bardziej aktywną politykę prorodzinną (wsparcie finansowe dla rodzin, budowę 3 milionów mieszkań w ciągu 8 lat) i prospołeczną, PO zapowiadała wprowadzenie 15 proc. podatku CIT, VAT i PIT („podatku liniowego”). Wyborcom musiało to wystarczyć za drogowskaz, ponieważ PO zrezygnowała z publikacji przed wyborami szczegółowego programu gospodarczego⁶². Już jako prezydent Lech Kaczyński wspominał:

„Tusk nie krył się choćby z pomysłem podatku liniowego i w czasie całej kampanii twardo twierdził, że jest za, a ja twardo się sprzeciwiałem. Przeciętny polski wyborca nie uważa zaś, żeby podatek liniowy był specjalnie sprawiedliwy”⁶³.

W początkowej fazie kampanii wyborczej Platforma Obywatelska i jej lider zignorowali wagę i trafność wskazania różnic między Polską solidarną i liberalną. Donald Tusk w swoim stylu populistycznie porównywał głoszoną w programach PiS, a wcześniej NSZZ „Solidarność”, ideę solidaryzmu narodowego, wyprowadzoną ze społecznej nauki Kościoła katolickiego, do socjalizmu, stwierdzając, że „w programach gospodarczych wszystkich partii politycznych w Polsce, z wyjątkiem Platformy Obywatelskiej, jest więcej lub mniej »socjalizmu gospodarczego« (...) Platforma jest od tego, by leczyć Polskę z socjalizmu”⁶⁴ – głosił swoje liberalne credo Donald Tusk.

Program „Polski solidarniej” uwiarygodniało zdecydowane poparcie, jakiego kandydaturze Lecha Kaczyńskiego udzielił Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. To wsparcie miało wymiar symboliczny i osobisty, gdyż „Solidarność” była

przecież najważniejszym doświadczeniem życiowym Kaczyńskiego i punktem wyjścia dla jego całej działalności publicznej po 1989 r.:

„Zawsze będę chciał poparcia »Solidarności«, bo w tym ruchu spędziłem najlepsze lata mojego życia”⁶⁵ – wyjaśniał jeszcze przed I turą wyborów L. Kaczyński, uzupełniając po pierwszym prezydenckim głosowaniu: „Jeżeli zostanę wybrany prezydentem, to oczywiście wystąpię z mojej partii, ale w »Solidarności« pozostanę (...) spędziłem w walce o nią najlepsze lata”⁶⁶.

NSZZ „Solidarność” jest z jednej strony depozytariuszem tradycji Sierpnia ’80, którego poparcie po 1989 r. stanowi swoisty glejt wiarygodności dla polityków wywodzących się z tego ruchu, z drugiej po prostu związkiem zawodowym, reprezentującym interesy pracowników. Poparcie Związku dla Kaczyńskiego wyrażało nadzieje pracowników najemnych na politykę równoważenia przez państwo dominującej pozycji pracodawców, bardziej solidarne stosunki społeczne i objęcie przez nowego prezydenta aktywnego patronatu nad kulejącym nad Wisłą dialogiem społecznym.

W 2005 r. przypadała 25. rocznica powstania „Solidarności”, dlatego można było zakładać, że jej historia i dziedzictwo staną się ważnym elementem kampanii. Już w styczniu podczas wręczania prezydentowi stolicy tytułu Człowieka Roku 2004 przyznanego przez związkowy „Tygodnik Solidarność” przewodniczący „Solidarności” Janusz Śniadek podkreślał kierowanie się przez Lecha Kaczyńskiego dobrem wspólnym⁶⁷.

Lech Kaczyński otrzymał oficjalne poparcie Związku, wyrażone w stanowisku Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, na kilka dni przed terminem wyborów parlamentarnych. Było to zatem również mocne wsparcie Prawa i Sprawiedliwości w rywalizacji partyjnej:

„Komisja Krajowa NSZZ »Solidarność«, szanując indywidualne decyzje swoich członków, stwierdza, że zarówno program, jak

i poglądy prezentowane przez kandydata na prezydenta RP – Lecha Kaczyńskiego, są najbliższe oczekiwaniom Związku, dlatego udziela poparcia jego kandydaturze. Apelujemy do członków i sympatyków NSZZ »Solidarność« o poparcie Lecha Kaczyńskiego”⁶⁸.

Kandydaturę Lecha Kaczyńskiego wsparły również poszczególne regiony związkowe, w tym największy Region Śląsko-Dąbrowski kierowany przez późniejszego przewodniczącego całej „Solidarności” Piotra Dudę.

NSZZ „Solidarność” wzmocnił swoje poparcie dla Lecha Kaczyńskiego podczas XIX Krajowego Zjazdu Delegatów, który odbył się w podlaskim Wasilkowie w dniach 13 i 14 października 2005 r., niemal dokładnie w połowie między I a II turą wyborów prezydenckich. Kandydat PiS był gościem honorowym pierwszego dnia zjazdu. Blisko 300 delegatów „Solidarności” wezwało członków i sympatyków organizacji oraz wszystkich Polaków do udziału w II turze i oddania w niej głosu na kandydata „Polski solidarnej”:

„Wybierając Lecha Kaczyńskiego mamy szansę zrealizować wizję Polski solidarnej – uczciwego państwa prawa, wolnego od powszechnej korupcji, przestępczych prywatyzacji i bogactwa tylko dla nielicznych”⁶⁹.

Były wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność” stanowił dla Związku, tak jak dla milionów zwykłych Polaków, ostatnią nadzieję na zmianę polityki społeczno-gospodarczej III RP.

Parlamentarny prolog

Dwa tygodnie przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, 25 września 2005 r., odbyły się wybory parlamentarne. Tym razem nie tylko miały one na celu wybór władzy ustawodawczej

i wykonawczej (większości parlamentarnej, a w efekcie Rady Ministrów), ale również stanowiły najpoważniejsze i najbardziej wiarygodne „badanie opinii publicznej” przed wyborami głowy państwa. Wyniki wrześniowego głosowania współtworzyły scenariusz i dynamikę ostatnich tygodni wyścigu prezydenckiego.

Wybory parlamentarne w 2005 r. wygrało Prawo i Sprawiedliwość, zdobywając 26,99 proc. (3,18 mln) głosów. PiS wprowadziło do Sejmu 155 posłów. Platforma Obywatelska uzyskała poparcie 24,14 proc. (2,84 mln) wyborców i zdobyła 133 mandaty poselskie. Kolejne miejsca i mandaty w izbie niższej parlamentu uzyskały ponadto: Samoobrona RP – 11,4 proc. (56 posłów), Sojusz Lewicy Demokratycznej – 11,31 proc. (55 posłów), Liga Polskich Rodzin – 7,97 proc. (34 posłów), Polskie Stronnictwo Ludowe – 6,96 proc. (25 posłów). Startujący w okręgu gdańskim, określanym „bastionem Platformy”, lider PO Donald Tusk otrzymał 79 237 głosów i zdobył mandat posła na Sejm RP. Lech Kaczyński w wyborach parlamentarnych nie startował, ale w pewien sposób poparcie dla niego obrazował bardzo dobry wynik lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego, który został wybrany posłem z okręgu Warszawa I, zdobywając 171 129 głosów. Również wyniki wyborów do Senatu potwierdziły supremację PiS na scenie politycznej. Prawo i Sprawiedliwość wprowadziło do izby wyższej 49 senatorów, PO – 34, LPR – 7, Samoobrona – 3, PSL – 2, a 5 miejsc przypadło kandydatom niezależnym⁷⁰.

Całościowy wynik wyborów oznaczał klęskę postkomunistycznej lewicy, która z pozycji partii władzy została zredukowana do roli zaledwie czwartej siły w parlamencie. Ta zmiana była jednak do przewidzenia. Z zaskoczeniem natomiast przyjęto zwycięstwo PiS, które zmieniało układ sił w obozie centroprawicy na finiszu kampanii prezydenckiej.

Niespodziewana porażka PO niewątpliwie podcięła skrzydła zwolennikom Donalda Tuska, z kolei wygrana PiS dawała nadzieję na podobne zwycięstwo Lecha Kaczyńskiego. Stanowiła ona jednak również potencjalne obciążenie dla tego kandydata. Część

niezdecydowanych wyborców centroprawicy z obawy przed monopolizacją władzy mogła w wyborach prezydenckich poprzeć Donalda Tuska, aby „przywrócić równowagę” we wciąż zakładanej przez opinię publiczną koalicji PO-PiS.

Wśród polityków PiS takiego scenariusza obawiano się zwłaszcza w sytuacji, w której desygnowanym na urząd premiera zostałby Jarosław Kaczyński, brat bliźniak Lecha Kaczyńskiego. Bez wątplenia taka sytuacja, choć wynikająca z naturalnej w demokracji zasady przewidującej, że lider zwycięskiego ugrupowania otrzymuje misję utworzenia rządu, ułatwiałaby przeciwnikom politycznym PiS i Lecha Kaczyńskiego propagandowo-medialne ataki.

W tej sytuacji prezes PiS Jarosław Kaczyński postanowił, że kandydatem tej partii na stanowisko prezesa Rady Ministrów będzie Kazimierz Marcinkiewicz⁷¹. Ten młody, niespełna 46-letni polityk nie należał do ścisłego kierownictwa PiS i nie miał dużego doświadczenia politycznego. Wcześniej, m.in. jako działacz Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i AWS, był wiceministrem edukacji narodowej, szefem gabinetu politycznego premiera Jerzego Buzka oraz krótko przewodniczącym Klubu Parlamentarnego PiS i przewodniczącym sejmowej Komisji Skarbu Państwa. Miał jednak szansę pozyskać dla partii i jej prezydenckiego kandydata wyborców centroprawicowych „zawieszonych” między PO i PiS, dawał także nadzieję na lepszy klimat negocjacji koalicyjnych pomiędzy tymi ugrupowaniami⁷². Tym ostatnim względem – przypomnijmy: w warunkach prezydenckiej rywalizacji kandydatów PO i PiS – uzasadniał kandydaturę partyjny szef Kazimierza Marcinkiewicza Jarosław Kaczyński:

„Był kompetentny w sprawach gospodarczych. Spokojny i łatwy do przełknięcia dla Platformy, a my, wbrew temu, co się teraz mówi, naprawdę chcieliśmy tej koalicji. Tuż przed podjęciem ostatecznej decyzji rozmawiałem o nim przez telefon z Rokitą. Spytałem o akceptację. Zareagował pozytywnie. Zgodził się akceptować publicznie”⁷³.

Decyzja o desygnowaniu Marcinkiewicza nie przyszła jednak łatwo i wywołała kilkudniową różnicę zdań w bliźniaczym duecie. Prezes PiS wspominał później reakcję brata na tę wiadomość:

„Czy brat był niezadowolony? Po prostu wściekły! Od 56 lat się tak nie pokłóciliśmy. Przez kilka dni nie odbierał ode mnie telefonów”⁷⁴.

Pokazuje to, jak bliskie, głębokie i lojalne relacje panowały między Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi. Przyszły prezydent nie chciał, aby kosztem jego zwycięstwa brat stracił coś, co mogło się już nie powtórzyć – możliwość objęcia funkcji premiera rządu. Z kolei Jarosław Kaczyński wiedział, że taki scenariusz utrudniłby prawicy zdobycie stanowiska głowy państwa, niezbędnego do realnej i trwałej reformy kraju:

„Najkorzystniejsze badanie dawało tandemowi Kaczyński-Kaczyński u steru państwa poparcie rządu 34 procent. Gdybym się zgłosił na premiera, wybory prezydenckie mogły zostać przegrane. Brat miał inne zdanie niż ja w tej sprawie. Mocno naciskał, żebym brał premierostwo. Obraził się i przez kilka dni nie chciał ze mną rozmawiać (...) Wahałem się i podjąłem decyzję na 10 minut przed konferencją prasową. Bardzo mi zależało na sukcesie prezydenckim. Ze względu na brata, ale i dlatego, że prezydentura jest konieczna do jakiegokolwiek zmiany. Tusk takiej zmiany nie gwarantował”⁷⁵.

Kalendarz konstytucyjny obligował do rozpoczęcia procesu wyłaniania nowego rządu jeszcze przed drugą turą wyborów prezydenckich. Kończący pełnienie urzędu Prezydenta RP Aleksander Kwaśniewski 19 października 2005 r. desygnował Kazimierza Marcinkiewicza na prezesa Rady Ministrów, powierzając mu misję utworzenia nowego gabinetu. Na samym finiszu kampanii prezydenckiej rozpoczęły się toczone przy otwartej kurtynie negocjacje koalicyjne z udziałem kilkuosobowych zespołów polityków z obu

formacji. PiS reprezentowali m.in. Jarosław Kaczyński, Ludwik Dorn i Kazimierz Marcinkiewicz, Platformę – Jan Rokita, Bronisław Komorowski i Grzegorz Schetyna. Rzeczywiste rozmowy koalicyjne toczyły się jednak podczas zamkniętych i poufnych spotkań liderów PiS (głównie Jarosława Kaczyńskiego) z Janem Rokitą, Donaldem Tuskiem i Janem Krzysztofem Bieleckim, wyraźnie traktowanym przez prezydenckiego kandydata PO jako swobodnego „guru”. Lech Kaczyński nie brał udziału w tych spotkaniach. Oczywistym było, że negocjacje nie zakończą się aż do ostatecznego rozstrzygnięcia rywalizacji prezydenckiej, co zgodnie z oczekiwaniami miało nastąpić dopiero w drugiej turze głosowania. Desygnowany na premiera Kazimierz Marcinkiewicz uczestniczył w wybranych spotkaniach wyborczych Lecha Kaczyńskiego. Udzielał się również bardzo aktywnie w mediach, co jednak z punktu widzenia kampanii prezydenckiej stanowiło pewne zagrożenie. Utrzymane w mocno liberalnym duchu wypowiedzi medialne Marcinkiewicza odnoszące się do ekonomii mogły w publicznym odbiorze wprowadzić chaos w strategicznie sprofilowany podział między Lechem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem na program Polski solidarnej i Polski liberalnej.

Pierwsza tura

Pierwsza tura wyborów prezydenckich, która miała miejsce 9 października 2005 r., potwierdziła, podobnie jak wcześniejsze wybory parlamentarne, polityczną dominację szeroko rozumianej centroprawicy. Największe poparcie uzyskał tym razem kandydat PO, zdobywając 36,33 proc. (5,42 mln) głosów. Lech Kaczyński zajął drugie miejsce, gwarantujące udział w II turze wyborów, z poparciem 33,10 proc. (4,94 mln) głosów. Mocne trzecie miejsce na scenie politycznej potwierdził lider Samoobrony RP Andrzej Lepper z wynikiem 15,11 proc. (2,25 mln) głosów. Kolejne miejsce zajął Marek Borowski, lider Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, którego poparło 1,54 mln osób (10,33 proc. głosów)⁷⁶.

Elektorat obu kandydatów, którzy przeszli do II tury wyborów, posiadał odmienną strukturę. Pod względem terytorialnym Lech Kaczyński największe poparcie uzyskał w Polsce wschodniej. Jednak nawet w województwie podkarpackim, gdzie osiągnął najlepszy wynik, nie przekroczyło ono progu 50 proc. (było to 49,37 proc.). W Małopolsce Lech Kaczyński w I turze zdobył 43,25 proc. głosów, na Podlasiu – 39,79 proc., na Lubelszczyźnie – 36,52 proc., na Mazowszu – 35,96 proc., a na Pomorzu (bastionie Donalda Tuska, ale związanym również z kandydatem PiS silnymi tradycjami solidarnościowymi) – 29,34 proc. Im dalej na północ i zachód kraju, tym wynik kandydata PiS w pierwszej turze był gorszy. Najniższe poparcie Lech Kaczyński uzyskał w województwie zachodniopomorskim (23,82 proc.), a tylko nieco wyższe w lubuskim (24,99 proc.) i wielkopolskim (25,81 proc.). Pod względem miejsca zamieszkania wyborców przyszły prezydent otrzymał nieco wyższe poparcie mieszkańców miast (34,09 proc.) niż wsi (32,58 proc.).

Struktura poparcia dla Donalda Tuska w I turze wyglądała niemal dokładnie odwrotnie – największe poparcie zyskał on w Polsce zachodniej i północnej, najmniejsze na tzw. ścianie wschodniej. Kandydat PO w głosowaniu 9 października 2005 r., podobnie jak Lech Kaczyński, w żadnym regionie nie zdobył co najmniej połowy głosów. Najwięcej uzyskał ich na rodzinnym Pomorzu (48,76 proc.) oraz w województwach opolskim (45,06 proc.), zachodniopomorskim (42,51 proc.), śląskim (41,53 proc.) i dolnośląskim (41,29 proc.). Pod względem miejsca zamieszkania wyborców Tusk, znów tak jak Kaczyński, uzyskał lepsze wyniki wśród mieszkańców miast niż wsi. W jego przypadku ta różnica była jednak dużo większa (41,87 proc. do 25,19 proc., przy ogólnym wyniku 36,33 proc.).

Taka struktura elektoratów i niewielka różnica w liczbie głosów otrzymanych przez obu kandydatów, którzy przeszli do drugiej tury wyborów, pozostawiała zdobycie prezydentury sprawą otwartą. Zarówno Lech Kaczyński, jak i Donald Tusk osiągnęli w I turze przewidywane stabilne poparcie, wykraczające poza tzw. żelazne elektoraty oparte na stałych wyborcach ich partii.



■ **Za kulisami**
pierwszej tury
wyborów
prezydenckich
2005 r.
Po ogłoszeniu
wyników
pierwszej tury.
Jadwiga
Kaczyńska.

O wyniku wyborów prezydenckich miało zdecydować rozszerzenie elektoratu o głosy wyborców niezdecydowanych, przejście poparcia kandydatów, którzy odpadli w I turze, oraz zmobilizowanie swoich naturalnych elektoratów (czyli walka o jak najwyższą frekwencję w Polsce zachodniej przez kandydata PO i Polskę wschodniej przez kandydata PiS).

Dziadek z Wehrmachtu

Dwa tygodnie oddzielające obie tury prezydenckiego głosowania zdominowała tzw. sprawa dziadka z Wehrmachtu. O tym, że przodek kandydata PO służył w niemieckim wojsku w czasie drugiej wojny światowej, opinia publiczna dowiedziała się z wywiadu udzielonego tygodnikowi „Angora” przez Jacka Kurskiego, członka sztabu wyborczego Lecha Kaczyńskiego. W rozmowie tej polityk PiS stwierdził, iż „poważne źródła na Pomorzu mówią, że dziadek Tuska zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu”. Początkowo informacja ta nie odbiła się większym echem w innych mediach i nic nie wskazywało na to, aby stała się frontem kampanijnej wojny.

Sprawa „dziadka z Wehrmachtu” rozgorzała na dobre dopiero po konferencji prasowej zorganizowanej przez... sztabowców Donalda Tuska, którzy zarzucili politycznej konkurencji nieczystą grę. Szef sztabu kandydata PO Jacek Protasiewicz ocenił, że „kampania Lecha Kaczyńskiego sięgnęła bruku”⁷⁷.

Taki zabieg mógł przynieść efekt i zapewnić liderowi PO miejsce w Pałacu Prezydenckim. Sztabowcy Tuska i on sam musieli wiedzieć, że w Polsce – inaczej niż w bardziej rozwiniętych demokracjach, np. w Stanach Zjednoczonych – opinia publiczna nie akceptuje „prześwietlania” każdego szczegółu życiorysu kandydata i jego rodziny w imię transparentności i uczciwości życia publicznego, a oskarżenia o prowadzenie „negatywnej kampanii” i „czarnego PR” stanowią polityczny wyrok śmierci na ich autorów. Tak było m.in. podczas kampanii prezydenckiej zaledwie 5 lat wcześniej, gdy sztab

Mariana Krzaklewskiego wyemitował materiały pokazujące jego kontrkandydata Aleksandra Kwaśniewskiego w kompromitujących sytuacjach⁷⁸. Te działania, pozornie muszące zdezwuolnić przedstawiciela lewicy w oczach patriotycznie i religijnie nastawionego elektoratu, odniosły przeciwny skutek. Wzmocniły negatywny wizerunek Mariana Krzaklewskiego jako polityka aroganckiego i atakującego, natomiast z Aleksandra Kwaśniewskiego uczyniły „koncyliacyjną ofiarę” bezpardonowych ataków.

Mając w pamięci taką lekcję, Lech Kaczyński, który o całej sprawie dowiedział się – tak jak większość Polaków – z mediów, usunął Jacka Kurskiego ze swojego sztabu wyborczego, a Donalda Tuska przeprosił za całą sytuację. Kurskiego usunięto także z Prawa i Sprawiedliwości. Dla Lecha Kaczyńskiego był to „najcięższy moment kampanii”:

„Dotknęło mnie to w Katowicach, jechałem do arcybiskupa Damiana Zimonia i nawet u niego nie mogłem ukryć swojego zdenerwowania (...) Przekaz, jaki otrzymywałem, był przecież autorstwa Platformy. Rzecz przedstawiała się fatalnie. Mówiąc szczerze, myślałem nawet, że Kurski przegrał nam kampanię. Uspokoilem się dopiero w kaplicy księdza biskupa”⁷⁹.

Jednak manewr sztabowców PO odbił się ich liderowi polityczną czkawką. Po kilku dniach polskie media bez trudu ustaliły, że Józef Tusz rzeczywiście służył w Wehrmachcie, chociaż nie jako ochotnik. Niemieckie i brytyjskie dokumenty wojskowe nie są do końca precyzyjne i zawierają luki w tym względzie, ale najprawdopodobniej dziadek przyszłego premiera był żołnierzem niemieckich sił zbrojnych od 2 sierpnia do 12 października 1944 r. Być może trafił wówczas do amerykańskiej niewoli podczas walk o niemieckie miasto Aachen (Akvizgran), a później do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Prawdopodobieństwo tej wersji zmniejsza jednak brak nazwiska Józefa Tuska w wykazach żołnierzy PSZ oraz jeńców wziętych do niewoli przez walczące w tamtym rejonie wojska amerykańskie. Jak

ustalił dziennikarz śledczy Andrzej R. Potocki, dużo bardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że po zwolnieniu z nieznanых powodów (np. zdrowotnych) z Wehrmachtu w październiku 1944 r. Józef Tusk pracował jako więzień obozu koncentracyjnego w Neustadt w pobliżu granicy niemiecko-duńskiej. Miał tam przebywać aż do powrotu do domu w Sopocie 24 listopada 1945 r.⁸⁰

W samej historii dziadka Donalda Tuska nie ma w gruncie rzeczy niczego nadzwyczajnego. W czasie drugiej wojny światowej tysiące mieszkańców Pomorza, Kaszubów i Kociewiaków, zostało siłą wcielonych do niemieckiego wojska⁸¹. Często dezertowali, a potem ukrywali się lub przechodzili linię frontu i walczyli z Niemcami w szeregach aliantów. Gorzej mieli ci, których jednostki wysłano na front wschodni w Związku Sowieckim.

Tajemnicza pozostaje jedynie postawa wnuka Józefa Tuska i jego nieznamość rodzinnych losów. Być może Donald Tusk rzeczywiście był oburzony i zaskoczony zagrywką Jacka Kurskiego, nie na tyle jednak, aby nie wykorzystać okazji i nie spróbować „przykleić” negatywnych konotacji, związanych z akcją sztabowca PiS, do samego kandydata. Według relacji medialnych Tusk miał powtarzać w gronie rodzinnym:

„Lecha Kaczyńskiego zaślepiła żądza władzy, nie poznaję go”⁸².
Z kolei oficjalnie miał komentować całą sprawę: „To podłe kłamstwo. Moi dziadkowie nie byli w Wehrmachcie, tylko w obozach koncentracyjnych”⁸³.

Po zweryfikowaniu przez media przeszłości dziadka Donalda Tuska sytuacja się odwróciła. Wysuwane przeciw sztabowi Lecha Kaczyńskiego zarzuty o kłamstwo i negatywną kampanię wyborczą okazały się pochoodne. Teraz to współpracownicy rywali musieli się tłumaczyć. Lech Kaczyński wspominał:

„Fundamentalnym błędem drugiej strony było zaprzeczenie. Zdałem sobie sprawę, że jeśli ktoś zaprzecza, a następnego dnia

okazuje się, że to jednak prawda, to nie może mu wyjść na dobre. Przy czym oczywiście taka historia rodzinna to w najmniejszym stopniu nie jest winą Donalda Tuska. To okoliczność, na którą nie ma się najmniejszego wpływu”⁸⁴.

Sam Donald Tusk miał zarzekać się swoim doradcom, że o rodzinnej przeszłości nic nie wiedział. Tak tłumaczył się również opinii publicznej:

„Nie wiedziałem. W domu nigdy się o tym nie mówiło, nie miałem też poczucia, że rodzina ukrywa jakąś tajemnicę. Gdy dziadek żył, interesowałem się Piłsudskim, pisałem pracę magisterską o legendzie Marszałka. Kiedy zacząłem wydawać albumy o Gdańsku, dziadka już nie było”⁸⁵.

Te wyjaśnienia należy jednak podać w wątpliwość, uwzględniając fakt, że lider PO z wykształcenia jest historykiem, w dodatku autentycznie zafascynowanym złożonymi dziejami i tożsamością Pomorza, dla którego według jego własnych deklaracji ważny jest także niemiecki kontekst tej tożsamości. „Jak Pan mógł nie wiedzieć, pan, kronikarz, rodzinny historyk?” – pytała kandydata PO jedna z dziennikarek TVP w programie „Prezydent dla Polski”⁸⁶.

Z jednej z wcześniejszych o kilka lat publikacji Donalda Tuska wynika, że znał i badał on historię swojej rodziny, w tym losy dziadków:

„Dziadek po kądzieli, Franz Dawidowski, mówił o sobie z dumą: Danziger. Jednemu z synów dał na imię Jürgen, drugiemu Henryk, nie Heinrich, i posłał go do polskiej szkoły w Sopocie. Dziadek był piłkarzem w klubie polskich kolejarzy Gedania, w czasie wojny naziszi zesłali go na przymusowe roboty, po 1945 roku wybrał Polskę. Jego brat służył w Wehrmachcie, szwagier zginął od kuli polskiego żołnierza, siostra znalazła grób w Bałtyku jako jedna z ofiar »Gustloff’a«, statku z gdańskimi uchodźcami storpedowanym w 1945 roku przez sowiecką łódź podwodną.

Dziadek po mieczu, Józef Tusk, już drugiego września został aresztowany przez gestapo i wojnę spędził w obozach koncentracyjnych. Był polskim kolejarzem, miał kaszubskie korzenie, czuł się gdańszczaninem, ale z babcią rozmawiał po niemiecku równie swobodnie, jak po polsku. Wszyscy oni czuli się przede wszystkim *hiesige*, tutejszymi, i dopiero wojenny paroksyzm historii zmusił ich do wyboru między Niemcami a Polską”.

Niepełna wiedza Tuska o swoim dziadku może dziwić tym bardziej, że zdobycie informacji o wojennych losach Józefa Tuska okazało się stosunkowo proste⁸⁷.

Ponadto relacja siostry Donalda Tuska, Sonii, potwierdza, że dziadek Józef Tusk był dla rodzeństwa „ważną osobą, ikoną”⁸⁸, chociaż sam kandydat PO – gdy rodzinna historia stała się kwestią polityczną – bagatelizował swoje relacje z dziadkiem:

„Ożeniłem się w roku 1978 i kontakty z dziadkiem stały się sporadyczne. Pamiętam, że tańczył na naszym weselu...”⁸⁹.

W medialnym szumie i koncentracji na wątku personalnym dotyczącym Józefa Tuska zagubił się kontekst sytuacyjny, w którym padła wypowiedź Jacka Kurskiego dla tygodnika „Angora”. Dalsza jej część brzmiała m.in. tak:

„Cokolwiek było z jego dziadkiem – nie winię za to Donalda Tuska. Winię go jedynie za tolerowanie plotek na ten temat. Powinien albo zaprzeczyć, albo potwierdzić, a nie milczeć. To już nie jest jego prywatna sprawa (...) Wyjaśnienie tej kwestii jest dlatego tak ważne, że Tusk w swojej publicystyce historycznej prezentuje często niemiecki punkt widzenia. Czyni także wiele proniemieckich gestów”.

Wszelkie kwestie, także historyczne, związane z problematyką niemiecką, były niezwykle ważne w ocenie kandydatów na urząd,

w którego kompetencjach znajdowały się sprawy międzynarodowe, w tym bilateralne stosunki polsko-niemieckie. A te w połowie pierwszej dekady XXI w. ogniskowały się przede wszystkim wokół spraw konfliktowych: współpracy Niemiec z Rosją przy budowie godzącego w polskie interesy ekonomiczne, geopolityczne i bezpieczeństwa Gazociągu Północnego, niemiecki rewizjonizm historyczny dotyczący drugiej wojny światowej i związaną z tym działalność kierowanego przez kontrowersyjną Erikę Steinbach Centrum Przeciw Wypędzeniom, oraz podział na „starą” i „nową” Europę, dotyczący głównie stosunku do relacji transatlantycznych.

W perspektywie zmierzenia się z takimi i podobnymi problemami międzynarodowymi wizje polityki zagranicznej, prezentowane w kampanii wyborczej przez Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska, chociaż w miarę zbieżne w kwestiach strategicznych, różniły się w szczegółach dotyczących relacji z poszczególnymi państwami i organizacjami międzynarodowymi. Kandydat PO deklarował mniejsze niż Lech Kaczyński angażowanie się w sprawy międzynarodowe po ewentualnym zwycięstwie, sugerował również kontynuowanie wcześniejszego „otwartego” i „miękkiego” kursu i stylu Aleksandra Kwaśniewskiego.

Lech Kaczyński przeciwnie, zapowiadał twardą i stanowczą obronę interesów państwa polskiego oraz zwiększenie aktywności głowy państwa w kreowaniu polityki zagranicznej. Nie oznaczało to oczywiście prowadzenia polityki antyeuropejskiej. Kandydat PiS w trakcie kampanii wyborczej na spotkaniu w Brukseli z przewodniczącym Komisji Europejskiej José Manuelem Barroso zadeklarował, że podczas jego prezydentury Polska nie odwróci się od Unii Europejskiej i będzie w jej ramach prowadzić politykę aktywną, dynamiczną i efektywną. Jednocześnie Lech Kaczyński podkreślał potrzebę świadomości, że Unia Europejska nie jest „jedną wielką kochającą się rodziną narodów europejskich, w której każdy bezinteresownie troszczy się o innych”. Podobnie, odnosząc się do bilateralnych stosunków polsko-niemieckich, kandydat PiS jednocześnie deklarował, że „w poszczególnych sprawach możemy

współpracować z Niemcami i Francją”, ale polska polityka wobec Niemiec powinna być tak prowadzona, aby politycy niemieccy „dobrze wiedzieli, że po polskiej stronie nie ma ludzi z plasteliny, nie ma ludzi z kompleksami wobec Niemiec”⁹⁰. Lech Kaczyński mówił wprost, że nie podoba mu się niemiecki rewizjonizm dotyczący drugiej wojny światowej, a polityka państwa polskiego wobec Niemiec musi ulec zmianie.

Donald Tusk, uwikłany w wyjaśnianie rodzinnej historii z okresu drugiej wojny światowej z niemiecką Trzecią Rzeszą w tle, takiej zdecydowanej i sprecyzowanej deklaracji dotyczącej relacji Polski z jej zachodnim sąsiadem nie potrafił wyborcom przedstawić⁹¹. Zdaniem wielu badaczy i dziennikarzy „incydent z dziadkiem Donalda Tuska” miał duży wpływ na wynik II tury wyborów prezydenckich w 2005 r.⁹²

Dogrywka

W powszechnej opinii zwycięstwo Lecha Kaczyńskiego było również efektem dwóch debat telewizyjnych (12 i 20 października 2005 r.) przed II turą wyborów, w których zaprezentował się znacznie lepiej niż Donald Tusk. Uważał tak również sam Lech Kaczyński, który ocenił, że Tusk w bezpośrednim telewizyjnym starciu „nie okazał się dużym kozakiem”:

„Decydujące były dwa czynniki. Pierwszy to debaty między nami, w szczególności ostatnia z nich. Drugi – sądzę, że lepiej się wpisywałem w to, co było wówczas autentyczną ludzką potrzebą. Byłem pod tym względem bardziej autentyczny. Chodziło o politykę antykorupcyjną, także z wątkiem lustracyjnym, ale także o politykę socjalną”⁹³.

W bezpośrednich starciach uwidoczniła się różnica stylów i klas obu polityków. Kandydat PiS demonstrował swobodę, ale

też powagę odpowiadającą godności urzędu, o który zabiegał. Donald Tusk, co może zaskakiwać w zestawieniu z jego późniejszym obyciem medialnym, wypadł sztywno, a zarazem niepoważnie. Kandydat PO miał zresztą problemy z pokazaniem się jako odpowiedzialny i dojrzały polityk nie tylko w debatach telewizyjnych. Kampania wyborcza w 2005 r. skupiała ogromną uwagę mediów; obaj kandydaci zostali pokazani w różnych sytuacjach, ubiorach i otoczeniu. Nie sposób tych wszystkich relacji medialnych skatalogować i przedstawić. Do rangi symbolu różnicy postaw obu polityków może jednak aspirować zestawienie zdjęć Donalda Tuska i Lecha Kaczyńskiego w dzienniku „Rzeczpospolita” z 14 października 2005 r. Oba zostały zrobione na Podlasiu. Na pierwszym, wykonanym w Białymstoku, widzimy kandydata PO z jednym ze studentów i piłką nożną⁹⁴. Na drugim, wykonanym w podbiałostockim Wasilkowie, widnieje Lech Kaczyński z przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Januszem Śniadkiem, deklarujący: „Jestem człowiekiem »Solidarności«”⁹⁵. To Lechowi Kaczyńskiemu lepiej udało się przedstawić Polakom swój wizerunek, charakter i osobowość – silnego przywódcy, autorytetu naukowego i moralnego oraz osoby ceniącej więzi rodzinne⁹⁶. Stało się tak mimo większej sympatii mediów, zwłaszcza elektronicznych, dla kandydata PO. Badania trzech najważniejszych telewizyjnych programów informacyjnych („Wiadomości” TVP, „Faktów” TVN i „Wydarzeń” Polsatu) w trakcie całej kampanii wyborczej wykazały, że Donaldowi Tuskowi poświęcono więcej materiałów. Były one także emitowane w lepszym czasie, najczęściej rozpoczynając poszczególne wydania dzienników. Co ciekawe, do momentu wycofania się z prezydenckiego wyścigu Włodzimierza Cimoszewicza, także materiały jego dotyczące pokazywano częściej i w lepszym paśmie niż informacje na temat Lecha Kaczyńskiego⁹⁷.

Kampania prezydencka w 2005 r. była wyjątkowo intensywna, obaj rywale, zwłaszcza pomiędzy I a II turą wyborów, odbywali codziennie dziesiątki spotkań o różnym charakterze, nierzadko w odległych od siebie zakątkach Polski. Aby móc się szybko

przemieszczać, obaj kandydaci korzystali z wynajmowanych niewielkich prywatnych samolotów, tzw. taksówek powietrznych. Jednak Lech Kaczyński starał się, aby każdy, nawet najbardziej napięty dzień, zakończyć powrotem do mieszkania na warszawskim Powiślu. Intensywne tempo kampanii odciskało się na nim, ale Lech Kaczyński fizycznie zniósł ją bardzo dobrze:

„Latem to już była prawdziwa kampania. Mało snu, ale – o dziwo! – nie niedospanie, którego tak nie lubię. Kładłem się i po kilku godzinach budziłem bez chęci spania dalej. Tak działa adrenalina. Nigdy wcześniej tego nie doświadczyłem. Przełamałem swoją niechęć do latania samolotami, potrafiłem nawet lecieć cztery razy dziennie. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie uwierzyłbym, że jestem do tego zdolny”⁹⁸.

Kampania kandydata PiS była dużo lepiej zorganizowana w porównaniu z chaotycznymi i często improwizowanymi działaniami sztabowców Donalda Tuska. W przypadku Kaczyńskiego, jeśli w danym wydarzeniu uczestniczyła żona Maria, to ona osobiście dopinała ostatnie szczegóły, zwłaszcza te związane z wyglądem męża. „Zauważała każdy rozwichrzony włos w czuprynie męża”⁹⁹ – oceniały media.

Duże znaczenie w przeważeniu szali zwycięstwa na korzyść Lecha Kaczyńskiego odegrała jego zdolność przekonywania osób o częściowo odmiennych poglądach, ale uznających go za wiarygodnego gwaranta wprowadzenia w Polsce tak bardzo oczekiwanego po 1989 r. prospołecznego modelu rozwoju gospodarczego. W tym kontekście należy wymienić przede wszystkim zwolenników Andrzeja Leppera. Lider Samoobrony po zakończeniu udziału w wyborach prezydenckich w I turze wystosował pismo do obu pozostałych na placu boju kandydatów z pytaniami o sprawy programowe. Odpowiedział na nie tylko Lech Kaczyński, który następnie spotkał się z Lepperem na wspólnej konferencji prasowej 19 października 2005 r. Kandydat PiS zapewnił, że jako prezydent



■ **Rodzinne wsparcie**
w sztabie wyborczym
Lecha Kaczyńskiego.

[Kup książkę](#)